

TYGODNIK ILLUSTROWANY



N^o 192.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 30 maja 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII

TREŚĆ NUMERU.

Kronika tygodniowa. — Dawne ubiory i uzbrojenia, dalszy ciąg (z drzeworytem). — Pomnik Stanisława Małachowskiego (z drzeworytem). — Machina rachunkowa (z drzeworytem). — Willanów (z drzeworytem). — Jerzy Lubomirski dramat historyczny. — Przegląd polityki zagranicznej. — Cisza nocna (wiersh). — Bnin (z drzeworytem). — Tekla z Bielińskich Lubieńska (dokończenie). — Obrzędy weselne ludu w Wilkomińskiem (dokończenie). — Spirydion Ostaszewski. — Szachy. Rebus.

się w pobliżu nowych pięknych domów, obywatele i urzędnicy okoliczni, powodowani gorliwością o chwałę Boga i swój duchowy pożytek, zapragnęli przywrócić ten kościółek do stanu używalności i uzyskawszy na to zezwolenie właścicieli, którzy miłe przyjęli tę szlachetną ofiarę, przyprowadzili go do tego stanu, w jakim się dzisiaj przedstawia. Upoważnienie władzy i środki potrzebne dla odprawienia

tam nabożeństwa, obywatele wzięli na siebie. Właściciele kościółka, mając swoją parafię i swój kościół, przy którym mieści się kilka instytucyj duchownych, nie mieli legalnej zasady rozwijania nabożeństwa obcej parafii. Stosunki między-parafialne nie są dowolne, urząda je prawo kanoniczne i władza.

„Po dokonanej reparacyi, nabożeństwo w tym kościółku odprawiał jeden z zamówionych kapelanów. Gdy jednak tenże z natury powołania swego nie przedstawiał stałej rękomy odprawiania służby Bożej, obywatele udali się do władzy duchownej, z prośbą o wyznaczenie im stałego kapelana, przez też władzę zamianować się mającego. Właściciele kościółka nie występowali ze swoimi prawami, jak twierdzi korespondent, bo taka emulacja nie byłaby w swoim miejscu, nie oddalili byłego kapelana, nie zamknęli kościółka, bo służba Boża odprawia się tam w ten sposób jak przedtem; lecz przyjmując ten obowiązek, ulegli wyższym rozkazom i żądaniu obywateli. Wreszcie myli się korespondent, utrzymując że służba Boża odprawiała się tam codziennie, czego nie było, że teraz kościółek zamknięty, a msza święta odprawia się tylko na szczególne zamówienia. Nabożeństwo większe odbywa się tam w niedziele i święta jak dawniej, bez względu na zamówienia, a nadto w dni powszednie, na żądanie wiernych; prytém passye wielkopostne z kazania, nabożeństwo wielkotygodniowe, majowe i t. p. Twierdzenia nasze jesteśmy w stanie poprzeć dokumentami autentycznymi. Na czémże korespondent opiera swoje twierdzenia?

„Co do reszty, uwagi korespondenta względem braku kościołów w oddalonych dzielnicach Warszawy podzielamy w zupełności. Zauważano że w Paryżu na dawnych przedmieściach, gdzie niema kościołów, lud żyje w zupełnej nieświadomości o Bogu, o swoich obowiązkach i w największej demoralizacyi. Myśl to już dawna i u nas, powiększenia liczby kościołów w dzielnicach oddalonych, usprawiedliwiona zwyczajem przodków naszych, którzy w miejscach zaludnionych liczne stawiali kościoły. Żeby ta myśl przeszła w czyn, potrzeba tylko dobrej woli i spółdziałania wszystkich; bez tego owe zbawienne projekta upadły.“

Niestety! *amicus Plato, etc.* Gdyby kościółek Sto-krzyżki był o setki, albo nawet dziesiątki mil od nas oddalony, nie byłibyśmy zapewne w możności sprawdzenia faktów; ależ sprawa toczyła się pod naszymi prawie oczami. Od roku 1836 cmentarz z katakumbami został bez dozoru, a więc jedni z lotrostwa, drudzy z biędzy obdzierali z katakumb łaty i krokwie, śnieg, deszcz a następnie wilgoć niszczyły mury, a

Kronika tygodniowa.

Widocznie sprawa kościółka Święto-krzyżkiego, podniesiona przez naszego korespondenta, wielu ludziom leży na sercu, otrzymaliśmy bowiem w tym przedmiocie kilka listów. Wstrzymywaliśmy się z umieszczeniem ich, nie chcąc w jednej i tej samej sprawie nużyć uwagi czytelników. Gdy jednakże strona najbardziej interesowana przysłała do nas reklamacyą, z żądaniem zamieszczenia jej, nie chcąc odstępować od raz przyjętego przez nas zwyczaju, spełniamy to żądanie i umieszczamy rzezoną reklamacyą w całości, dodając tylko od siebie niektóre objaśnienia, z najwiarogodniejszych pochodzące źródeł. Tym sposobem raz już ułatwivszy się z tą sprawą, spodziewamy się nie być zmuszonymi powracać do niej nadal. Oto list o którym mowa:

„Artykuł zamieszczony w Tygodniku Ilustrowanym pod dniem 25 kwietnia 1863 r. N. 187 o kościółku Sto-krzyżkim przy ulicy Nowogrodzkiej, z powodu wielu niedokładności, potrzebuje sprostowania, tém więcej że stawia właścicieli w niekorzystnym świetle. Odpustu na stą Annę nigdy tam nie bywało, bo kościółek ten nie ma żadnych odpustów. Nie był zupełnie zniszczony i nie leżał w ruinach, jak utrzymuje korespondent. Kto zna co to jest postawić nowy, lub dzwignąć zniszczony kościółek, łatwo ocenić potrafi że 8000 zł., nawet przy współdziałaniu o którym mówi korespondencya, nie wystarczyłoby na jego podniesienie.

Kościółek ten, wystawiony przez właścicieli po założeniu cmentarza Sto-krzyżkiego, przeznaczony był na kaplicę przedpogrzebową. Po zamknięciu cmentarza w r. 1846 z powodów sanitarnych, a następnie sekularyzacyi jego w r. 1859, pozbawiony właściwych funduszów z pokładnego i swego przeznaczenia, został zamknięty i podupadł. Założenie przy nim instytutu publicznego przez pewne pobożne damy nie przyszło do skutku. Właściciele, dla ocalenia sufitów, sklepień i wiązań dawnych od upadku, zarządzili cząstkową reparacyą dachu. Następnie, z przyczyny stacyi kolei żelaznej i wznoszących

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).



Nr. 18.

Wiek XVI. Pachołcy szlachetni. Jeden w ręku trzyma przyłbicę, drugi proporzec i miecz. Obydwa w barwach herbowych. — Rysunek wzięty z księgi rodu Szydłowieckich.

złodzieje odbijali katakumby i rabowali z trumien szczytki ubiorów i ozdób. Korrespondent utrzymuje, że nie było funduszu na utrzymanie w porządku kościoła i cmentarza; a przecież, według Kurjera Warszawskiego, pochowano tam osób około 100000, z tych przeszło 2000 (a zapewne więcej) w katakumbach, za które się płaciło po złp. 1000, co czyni złp. dwa miliony; za resztę rachując najmniej po złp. 10, wszystko to uczyni milion, razem trzy miliony złotych, nie licząc eksportacji i nabożeństw. Taki to dochód przyniosły w swoim czasie owe trzy morgi gruntu, które cmentarz Sto-krzyżki zajmuje; więc, po ustaniu nawet takowych, starczyłoby funduszu na utrzymanie przy kościółku i cmentarzu strażnika, któryby porządku pilnował. W ostatnich czasach odbywało się tam wprawdzie żałobne nabożeństwo, podobno z fundacji rodziny Gutakowskich, lecz gdy i tego zaniechano, byłoby rogatę i nierogatę swobodnie pasło się na mogiłach, a drzwi kościoła, stojąc otworem, nie tamowały wstępu tym nowego rodzaju dozorcóm.

Taki był stan cmentarza i kościołka do r. 1839.

W tym roku, przy końcu lipca czy też na początku sierpnia, pan Ignacy Kwiatkowski budowniczy, którego okna na drzwi kościołka wychodziły, ujrzał w nim przypadkiem światło. Zdjęty ciekawością, przywołał stróża Michała i kilka innych osób, wraz z nimi poszedł zbadać to zjawisko. I o dziwo! Zastali kurz i śmieci uprzątnione, ołtarze nakryte białym papierem, a przed każdym z nich zapalone po dwie świece łojowe, przyklepione do cegły leżącej na ziemi. Ofiara wdowia 8 groszy leżała na wielkim ołtarzu. Ofiarodawca ów, który w tak dziwny sposób pierwszy dał popęd do składek na odnowienie kościołka, do dziś jeszcze niewiadomy.

Na drugi dzień ks. W. prokurator zgromadzenia ks. misjonarzy, będąc u pana Kwiatkowskiego, a dowiedziawszy się o tém co zaszło, ofiarował złp. 20, służąca zaś p. Kwiatkowskiego złp. 13 gr. 10. Z tym tak małym funduszem nie wahano się zająć odnowieniem budowy. Oprócz zbieranych składek pieniężnych, wiele osób przynosiło w ofierze pracę swoje. Nie wymieniamy ich imiennie, zbyt dalekoby nas bowiem owo wyliczanie doprowadziło. Musimy jednak uczynić wyjątek dla ks. Klimowicza ze zgromadzenia oo. dominikanów, który pilnie się krzątając około zebrania potrzebnych funduszy, pierwszy też rozpoczął w kościółku odprawiać nabożeństwa. Czynie to i ks. misjonarze, biorąc za sumę, kazanie i niespór po złp. 16 gr. 20.

A z nagrobkami co się zrobiło? Oto wiele z nich skradziono, wiele potłuczono, około 300 podmurowano, kilkadziesiąt wzięto do Śgo-krzyża, a inne poszły na rozmaity użytek, czego dowodem kamień z nazwiskiem Kozłowski, w bruku rynsztoka kamienicy nr 1582 lit. N w alei Jerozolimskiej, wchodząc z bramy w podwórzu po lewej stronie. Co zaś do samej restauracji, ta rzeczywiście nie ośm, jakieśmy z powodu błędnej informacji twierdzili z początku, ale przeszło dwadzieścia tysięcy kosztuje, i dziś jeszcze na kościółku cięża długi, nie licząc aparatów kościelnych w wartości ośmiu tysięcy.

Ksiądz Klimowicz miał być kapłanem kościołka; z prawa mu się to należało i wszyscy sobie tego życzyli. Zwierzchność duchowna odmówiła mu jednak pozwolenia sprawowania tego obowiązku, a to z powodu jego zakonnego powołania, jakkolwiek zasada ta niewszędzie bywa stosowaną, bo przy wielu parafiach i zakładach dobroczynnych zakonnicy sprawują podobne obowiązki.

Korrespondent twierdzi, że właściciele kościołka nie mieli legalnej zasady rozwijania nabożeństwa w obec parafii. Nie o legalną zasadę tu chodzi, ale o moralny obowiązek. Gdyby jedynie o legalną zasadę pytali się ci co składali fundusze na odnowienie kościołka, co czas swój i pracę na dokonanie tego dzieła poświęcili, rzecz nie byłaby zapewne nigdy doszła do skutku. A wszakże po oddaleniu ks. Klimowicza, kiedy na utrzymanie kapłana znalazły się podpisy przeszło trzydziestu uczestników, obowiązujących się płacić 2,700 złp. rocznie, a oprócz tego inne zapisy, jedne na lat 10, drugie na lat 5 ciągle się sypały,—księża misjonarze zgłosili się ze swoimi prawami, ale komitet, wiedząc że nie uczyniono zadość jego żądaniu, cofnął podpisy.

Opis stanu kościołka w jakim był itd. itd. znajduje się w protokołach posiedzeń komitetu, których wiarygodność, o ile się zdaje, nie powinna ulegać zaprzeczeniu. Dalecy od wszelkiej stronniczości, nie występujemy w tej sprawie z jakąkolwiek góry upatrzoną nieprzyjaźnią. Wszak rzecz tu idzie o służbę Bożą.

Klasa średnia mieszkańców kraju naszego, jak rzemieślnicy po miastach, drobna szlachta, koloniści polscy, oficjaliści gospodarscy po wsiach i tym podobne stany wyżej w pojęciach posunięte, z chęcią czy-

talyby dzieła i publikacje peryodyczne do ich pojęć zastosowane. Dotąd w tym kierunku piśmiennictwa bardzo niewiele jeszcze posiadamy książek. Najwięcej wydawano dla włościan, którzy po większej części czytać nie mogą, dla jednej z dwudziestu czterech przyczyn, przez mera któregoś miasta francuzkiego podczas pobytu Henryka IV wyłuszczonej, i dla klas zamożniejszych, które czytać niebardzo lubią, bo jeszcze nie doszliśmy do tego przekonania, żeby czytanie stało się konieczną potrzebą dla nas.

Otóż redakcja gazety rolniczej pragnie właśnie zaradzić temu brakowi wydawaniem pism zbiorowych z obrazkami, po cenie ile możności najprzystępniejszej, niższej jeżeli być może, aniżeli dziełek dla ludu wiejskiego; dla ludu bowiem z ofiary właścicieli ziemskich powstały szkółki i zakupiono książki, pragnąc koniecznie wdrożyć go tym sposobem do nauki, do zamiłowania w czytaniu. Szlachcic zaś zagrodowy, oficyalista lub ekonom na wsi, zresztą biedniejszy rzemieślnik w mieście, kupując książkę, oddaje część krwawo zapracowanego zarobku, a samym czynem kupna dowodzi, iż zrozumiał potrzebę oświaty, która jego stanowisko społeczne o wiele uzacznia jest zdolną. Zaspokojenie więc potrzeb tego rodzaju biorąc na siebie, redakcja Gazety rolniczej, ma zamiar, jak słyszeliśmy, wydać Noworocznik, który będzie zbiorem artykułów ile możności w najprzystępniejszym napisanych sposobie i ozdobionych rycinami. Druk tego noworocznika ma się już wkrótce rozpocząć.

Czemu nie wspominałeś, pisze do mnie jeden z naszych współpracowników, o śmierci pana Galopin Bouquet, pisarza trybunału paryskiego w wydziale policji poprawczej, nazywanego Wincentym a Paulo sądownictwa. Cudzoziemiec to, ale życie jego służyć może za wzór ludziom wszystkich narodów i kilka słów wspomnienia o nim nawet w piśmie polskim nie zawadzi. Mąż ten od dzieciństwa w ciężkiej pracy szukał utrzymania,—szukał go aż w Ameryce. W wolnych od ręcznych zatrudnień chwilach, nauczył się sam pisać, a następnie część zarobku odkładał na dalsze kształcenie się umysłowe. Po kilku latach pobytu w Ameryce, wróciwszy do Francji, został kancelistą, a następnie pisarzem trybunału, który to urząd przez 33 lat piastował. Pamiętny na własne sieroctwo, całe życie swe i mienie poświęcał ulżeniu sieroctwa drugich. Dzieci moralnie zaniedbane, tak często stawiane przed kraty sądu poprawczego, w zacynym jego pisarzu znajdowały opiekuna i dobroczyńcę. Bouquet najgorliwszym był ich obrońcą, troskliwie w aktach śledził okoliczności na korzyść ich przemawiające, wstawiał się do sędziów, a uwolnionych od kary umieszczał bądź w zakładach dobroczynnych poprawczych, bądź u rzemieślników. Skazanych na więzienie odwiedzał, pocieszał, uczył, wyjednywał wsparcie, zbierał składki na zabezpieczenie ich losu po wyjściu z więzienia, wstawiał się do towarzystw opiekuńczych, których był jednym z najczynniejszych członków, słowem, był prawdziwym ojcem i opiekunem tych nieszczęśliwych, zaniedbanych dzieci. Cnoty te zjednały mu powszechną miłość i szacunek; akademija zaszczyliła go nagrodą Monthyon za szlachetne czyny, a cesarz Napoleon ozdobił go krzyżem legii honorowej.

Z tego przykładu widzimy, że praca w zawodzie kryminalnym nie wyziębia szlachetnego serca. Nie tłumim ona również poetyckich zapalów; czytaliśmy bowiem niedawno, że pan Delattre, sztabs oficer i kommissarz cesarski (prokurator) przy sądzie wojennym paryżkim, przetłumaczył sielankę Tassa Amintę. Przerwy pomiędzy trudami obozu a obowiązkami prokuratora, pan Delattre umiał zapełnić sielanką i przegodami pasterzy, potrafił wnieść się myślą ponad przykre mozoły swojego zawodu.

I u nas było kilku prawników, co odznaczając się talentem poetyckim, poczesne w piśmiennictwie naszym zajmowali stanowisko. Pomiędzy innymi, wspomnienie należy się Janowi Zawadzkiemu, zręcznemu tłumaczowi dwóch czy trzech tragedji Rasya i poematu Millevoye „Miłość macierzyńska.“ Zawadzki pisał także poezje oryginalne, a szczególnie mnóstwo wierszy i improwizacji okolicznościowych, odznaczających się wielkim dowcipem i udatną formą. O ile wiemy, nawet wystąpił raz przed kratkami z obroną wierszem; niewiadomo nam jednakże czy język Bogów większe sprawił wrażenie na sędziach, aniżeli zwykła wymowa, w niemiarową formę ujęta.

Pamiętamy również że w jednym z biur tutejszych znaleźliśmy w aktach kilka dokumentów wierszowanych. Pomiędzy innymi znajdowała się tam ekscytacja, (czyli wznowienie), zalecająca przyspieszenie odrabianego interesu i prośba starozakonnego. Obie dwie te próby biurowo poetyckiego talentu przytaczamy tu z pamięci.

Ekscytacja.

Ponieważ dotąd, mimo naszego wznowienia, Z daty czwartego czerwca roku bieżącego, Rząd gubernialny jeszcze nie spełnił zlecenia W przedmiocie doniesienia czempredzej: dlaczego Nie przesłał, mimo wznowień jeszcze z przeszłej zimy, Rachunków z dóbr Dowspudy, własności Sulimy— Poleca mu Kommissya, aby miał na względzie Najspieszniejsze przedmioty tego wykonanie, Gdyż jezli odpowiedzi w dziesięć dni nie będzie, To kara wymierzona na winnych zostanie.

A oto prośba:

Szapsio Halberstram próśby zanosz pokorne, By mu konsens skarbowy na szynku komorne, Jakie on utrzymywał już lat temu siła, Kommissya łaskawie udzielić raczyła, Z oznaczoną opłatą, to mając na względzie, Ile starozakonnym przedłużonóm będzie Pozwolenie na szynki, tak w roku bieżącym, Jak i w następujące. Cenę konsensową Ujści akuratnie w kurancie brzęczącym. Ma więc honor upraszać Kommissyą rządową, Aby na jego próśby nie była zbyt rzęda I konsens udzieliła mu właściwą drogą.

O ile nam wiadomo, poetycka prośba Szapsia Halberstrama pomysłny otrzymała skutek i utrzymał się on przy konsensie, szczęśliwszy pod tym względem od innego współwyznawcy, którego wypadek pokrótce wam opowiemy.

Było to w dawniejszych jeszcze czasach, kiedy Izraelitom przechodzącym na wiarę katolicką, udzielano pewne przywileje i dogodności, ażeby zachęcić ich do odstępowania od religii Mojżeszowej.

Owóż pewien młody starozakonnny, przez długi czas napróżno ubiegając się za zarobkiem, a snadź więcej przywiązany do dóbr światowych, aniżeli w religijnym wytrwały przekonaniu, oświadczył chęć przejścia na łono kościoła katolickiego.

Jak to zwykle się zdarzało w takich razach, znalazł on możnych opiekunów, którzy przedewszystkiém oddali go na naukę. Szmul Pejsak, tak się bowiem nazywał ów starozakonnny, okazał wielką pilność i zajęcie się wykładaniami mu głównymi zasadami naszej wiary, tak iż sądzono że można bez szkody przyspieszyć dlań ceremonią chrztu świętego.

Ceremonia ta odbyła się bardzo uroczystie, ale kiedy kapłan, według zwyczaju, zapytał neofity:

— Czego żądasz od kościoła Bożego?

Szmul w dobrodusznosci swojej mniemał, że teraz właśnie przyszedł czas sformułowania żądań, jakie miał na sercu i bez zająknięcia odpowiedział:

— Szyneczku na rogu Mostowej ulicy.

Łatwo się domysleć że ta tak w porę wyrzeczona mocya Pejsaka przeciwny aniżeli się spodziewał skutek odniosła.

W tej anegdocie, za której historyczną prawdę nam zaręczono, leży wielka nauka moralna. Zawsze szkodliwem jest chcieć się wspomagać moralnymi środkami, dla otrzymania materialnych rezultatów. I jakież to będzie chrześcianin ze starozakonnego, którego tylko względy majątkowe zagnały do przejścia na wiarę naszą?

CISZA NOCNA.

Milczenie dokoła...

Tu grody, tam bory,
Tu łanów przestwory
Śpią—a tam śpią siola.

Najciszej, gdzie mnogie
Wykwitły samotne,
Piaszczyste, wilgotne
Cmentarze ubogie.

Tam sosny nad niemi
Posepnie dumają,
I gwiazdy mrugają
Oczami złotemi.

A w duszy to gwarzy,
To chórem wybucha
Ta cisza—ta głucha
Muzyka cmentarzy!

Aleksander O.

P O M N I K

STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO

W KOŚCIELE ŚW. JANA W WARSZAWIE.

Po prawej stronie w bocznej nawie kościoła metropolitalnego św. Jana w Warszawie, zwraca oczy każdego jeden z najpiękniejszych utworów nowożytnej rzeźby, w wspaniałych i wielkich rozmiarach. Jest to pomnik wzniesiony ku czci Stanisława Małachowskiego, zmarłego w r. 1809, znanego w nowszych dziejach krajowych marszałka sejmu czteroletniego za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, prezesa komisji rządzącej i pierwszego prezesa senatu za księstwa warszawskiego; męża nieskalanej cnoty i najzaciejszego charakteru, którego za życia zwano Arystydesem polskim.

Wystawiony staraniem i nakładem rodziny, wykonany był w Rzymie podług rysunku sławnego Wojciecha Thorwaldsena, przez równie dobrego artystę Franciszka Maksymiliana Labourea, Rzymianina, żyjącego od 1767 do 1834 roku, prezydenta tamecznej akademii, znanego powszechnie pod nazwiskiem Cavaliere Massimiliano. Całe to wielkie dzieło jest z białego kararyjskiego marmuru; przedstawia zaś u góry osobę w postawie siedzącej, w todzie rzymskiej, z twarzą wiernie portretowaną; w jednej ręce ma zwój papieru, w drugiej długą złożoną łaskę. Niżej na podstawie z marmuru krajowego checińskiego stoją dwie figury z kararu, wyobrażające: jedna rycerza w rzymskim stroju, druga zasmuconą niewiastę z koroną na głowie, która się na tarczy z herbami Polski ówczesnej wspiera. Na sarkofagu złożonymi głoskami mieści się łaciński napis, opowiadający nazwisko, tytuły i cnoty zmarłego. W ogóle rysunek tak głównej jako i dwóch bocznych figur jest bez zarzutu, a draperie miękkie i zręczne, starożytnym do równyważące.

Pomnik ten kosztował przeszło 400,000 złp. Pierwotnie miał on stać w kościele św. krzyża ks. misjonarzy, gdzie ciało wielkiego marszałka jest pochowane; lecz gdy z powodu swęj objętości i braku stosownego miejsca nie mógł tam być pomieszczony, przeniesiono go do św. Jana w r. 1831.

MACHINA RACHUNKOWA

p. Izraela Abrahama Staffel z Warszawy.

Jeszcze w r. 1845 p. Staffel warszawianin wykonał maszynę własnego pomysłu, która za stosownym nastawieniem liczb i poruszeniem, przedstawia rezultaty dodawania, odejmowania, mnożenia, dzielenia, podnoszenia do potęg i wyciągania pierwiastków kwadratowych, bez utrudzenia umysłu i bez użycia pisma. Machina ta, okazywana krajowym i zagranicznym korporacjom uczonych, wszędzie pozyskała zdanie, że jest wyższą nad wszelkie inne dotąd znane tego rodzaju przyrządy. Pomimo to w kraju naszym nietylko że nie weszła w praktyczne użycie, ale mało nawet jest osób znających jej użyteczność. Dlatego podajemy ogólny jej opis, wraz ze sposobem użycia, do zrozumienia którego posługuje rycina tu zamieszczona, wyobrażająca tę maszynę w perspektywie, w $\frac{1}{4}$ części wielkości naturalnej.

Zewnętrzna postać maszyny przedstawia: 1) prostokąt górny z 13 okienkami, w których umieszczone są przesuwające się cyfry, wyrażające otrzymane wypadki z działań; 2) walec poziomy dający się przesuwac, z siedmiu takimiż okienkami; 3) prostokąt dolny, także z 7 okienkami, których cyfry służą zarówno do nastawiania mnożnika (w mnożeniu), jak i do wyrażania otrzymanego ilorazu (z dzielenia).

Po prawej stronie umieszczoną jest korbka z hamulec, a powyżej tejże skazówka, sięgająca półokrągłej tarczy, na której wyrzyte są napisy: *additio*, *multiplicatio*, *subtractio*, *divisio* i *extractio*.

Aby w krótkości dać wyobrażenie o całym zakresie działania tej maszyny, dosyć jest okazać sposób jej użycia przy rozwiązaniu zadania:

$$a+b+c-d-e+(g \times h) - m^2$$

n.

Liczbę *a* ustawia się na walcu, skazówkę zaś na wyrazy *additio*, *multiplicatio*; po jednym obrocie nastawia się następną liczbę *b* i podobny obrót się odbywa; następnie podobnie postępuje się z liczbą *c*, a wtedy summa tych trzech liczb *a+b+c* okaże się na prostokacie górnym.

Następuje *-d*, potrzeba więc skazówkę przesunąć na wyrazy *subtractio*, *divisio* i postąpić z liczbami *-d-e* jak z poprzednimi, z tą jednak różnicą, że

korbka obraca się w stronę przeciwną pierwszej, a tym sposobem różnica pokaże się na prostokacie górnym.

Dalej w zadaniu widzimy znak dodatni $+(g \times h)$; potrzeba więc przedewszystkiem przesunąć skazówkę znowu na *additio*, *multiplicatio*; liczbę *g* ustawia się na walcu, liczbę *h* na prostokacie dolnym i odbywa się korbką tyle poruszeń, aż skutkiem tychże liczba *h* zamieni się na zera, (co także i przesuwaniem walca daje się skutecznie), i wtedy na prostokacie górnym okaże się liczba będąca wypadkiem rozwiązanej dotąd części zadania, mianowicie: $a+b+c-d-e+(g \times h)$.

Z liczbą $-m^2$, czyli $(m \times m)$ postępuje się podobnie jak z liczbą $+(g \times h)$, zmieniając wszakże położenie skazówki, która w tym razie ustawia się na wyrazach *subtractio*, *divisio*, a wtedy otrzymana liczba na prostokacie górnym będzie wypadkiem $a+b+c-d-e+(g \times h) - m^2$.

Nakoniec, aby jeszcze wypadek powyższy (stosownie do zadania) podzielić przez *n*, potrzeba skazówkę pozostawić na wyrazach *subtractio*, *divisio*, liczbę *n* ustawić na walcu, prostokąt dolny na zera, wreszcie potrzeba działać korbką i walcem tak jak przy mnożeniu, a tym sposobem nastawione zera na prostokacie dolnym, zamieniają się na liczbę będącą ilorazem szukany. Jeżeliby po tym ostatnim działaniu pozostała jeszcze jaka liczba na prostokacie górnym, to będzie ona licznikiem pozostałego ułamku, którego mianownikiem jest liczba *n* znajdująca się niezmiennie na walcu.

Do wyciągania pierwiastków kwadratowych potrzeba na prostokacie górnym ustawić liczbę zadaną, na walcu zera, na prostokacie dolnym także zera i jedną jednostkę, a skazówkę na wyraz *extractio*. Wypadek w tym razie okazuje się na walcu, po stosownem działaniu walcem, prostokatem dolnym i zasuwkami przy tychże, którego opis przekraczałby zakres pobieżnego artykułu; ograniczamy się więc tu na wzmiankę, że postępowanie z maszyną przy wyciąganiu pierwiastków nie przedstawia trudności, a na przyrządzie w naturze okazane, bardzo łatwe jest do pojęcia.

Zadziwiająco zręcznie obmyślana konstrukcja tej maszyny tym mianowicie jest wyższą nad wszystkie inne, że służy do rozwiązywania zadań, jak widzimy, skombinowanych. Nadto, gdy skutkiem odjęcia liczby większej od mniejszej, lub podzielenia liczby mniejszej przez większą, wypadek ma być liczbą ujemną, ostrzega o tym rachmistrza głos dzwonka wewnątrz maszyny umieszczonego.

Machina ta, będąc niezaprzeczonej użyteczności w rozwiązywaniu wszystkich działań arytmetycznych, szczególnie ułatwia i przyspiesza mnożenie i dzielenie, zwłaszcza liczb wielocyfrowych. I tak, doświadczenie okazało, że iloczyn 13sto cyfrowy, wypadły z pomnożenia liczby przez mnożnik 6cio cyfrowy, otrzymać można w 56 sekund; tymczasem mnożąc na papierze zwykłym sposobem, nawet gdy mnożnik składa się z samych dziewiątek (99999), iloczyn otrzymuje się zaledwie w $1\frac{1}{3}$ minuty. To samo skrócenie ma miejsce i w dzieleniu. W ogóle powiedzieć można, że oszczędza $\frac{1}{4}$ lub $\frac{1}{3}$ część czasu.

Wreszcie zamieszczamy tu z kursu arytmetyki narzędziowej profesora Juliana Bayera wyjątek dotyczący jednego jeszcze praktycznego użytku z tej maszyny. „Rachmistrzowi i takim, powiada professor Bayer, których bruliony rachunkowe pozostać winny, machina ta wielką przysługę co do sprawdzeń rachunkowych przynieść może, albowiem każdy iloczyn lub iloraz otrzymany raz z piórem w ręce, drugi raz za pomocą maszyny, jeżeli dwiema temi drogami zgodny się okaże, z pewnością za dokładny uważany być winien. Sprawdzenie takie przy pomocy maszyny jest wyższem od zwyczajnego przekonania się o dobroci wypadku przez powtórzenie działania; albowiem każdy rachmistrz praktyczny doświadczył nieraz tej trudnej do wytłumaczenia okoliczności, że raz popelniony przez niego błąd, ciągle i przy sprawdzaniach umysł jego powtarzał, tak dalece że zły wypadek częstokroć za dobry był poczytany; ztąd też pochodzi że się rachunki dwom oddzielnie rachmistrzom dla pewności wypadków powierzają. Tu drugiego rachmistrza machina rachunkowa p. Staffla z największą sumiennością zastąpić może.“

Zaszczytną jest dla p. Staffla historia jego wynalazku, bo gdy maszynę po 40 latach pracy ukończył, okazał ją po raz pierwszy na wystawie przemysłowej w Warszawie w r. 1845, i tu przez uczonych: ś. p. Adryana Krzyżanowskiego, ś. p. Augusta Bernharda i p. Juliana Bayera matematyków, należących do ówczesnego komitetu oceny wystawionych płodów, uznana została za przewyższającą wszystkie dotąd poczynione w tym rodzaju wynalazki; następnie

okazana akademii nauk w Petersburgu, oceniona i przyjęta była przez uczonych pp. Baniakowskiego i Jacobi, a gdy znów w r. 1851 p. Staffel okazał ją na pierwszej międzynarodowej wystawie w Londynie, sąd znawców wystawy uznał ją za najlepszą. (The best machine of this kind exhibited is that of Staffel. Report by the Juriers 1852) i udzielił wynalazcy medal.

Jedynym powodem tak małego jej upowszechnienia jest, jak sądzimy, jej cena, będąca w prostym stosunku do kosztów produkcji, które tylko w miarę powiększania się obstarunków, mogłyby się zmniejszać. P. Staffel ma w Warszawie niewielki warsztat wyrobów mechanicznych, w którym pracuje całe życie nad wynalazkami swemi, a skoro je wykona, nie odnosi nawet dla siebie korzyści materyalnych; gdyby więc mógł mieć odbyć na swe maszyny, a przez to swoją fabrykę rozprzestrzenić, cena ich byłaby przystępną dla wielu zakładów, którymi przyniosła ułatwienie i oszczędność czasu.

WILLANÓW.

Wśród trosk swobodnej chcąc używać doby,
Gdzie Wisła raz się okaże, znów schowa,
Zgromadza skarby i świetne ozdoby
I wznosi pyszne gmachy Willanowa,
To było jego najmiłsze ustronie:
Tam słodząc troski zbyt przykręj niedoli,
Z swym Jabłonowskim, lub w uczonych gronie
Chodził pod cieniem odwiecznych topoli,
Tu umarł...

J. U. Niemcewicz. (Śpiew o Janie III.)

O milę od Warszawy, na płaszczyźnie rozciągniętej ponad Wisłą, leży sławny Willanów, wieś z pałacem, która stanowi najpiękniejszą ozdobę okolicy stolicy dawnej rzplęj.

W drugiej połowie XIV wieku była to licha i mała wioseczka mazowiecka, zwana Milanowem. Książę Jan na Wiznie i Zakrocymiu, wynagradzając rycerskie zasługi walecznego wojownika Stanisława ze Strzelczykowa, nadał mu w r. 1377 dwie wsie Milanowo i Ranczaje (villas seu districtus varsav. Księgi metryczne mazowieckie: Varsavia). Darowiznę tę zatwierdził książę Bolesław, a Milanów stał się gniazdem rodziny Milanowskich.

Król Jan Sobieski, który poznał dobrze okolice Warszawy w myśliwskich wycieczkach, polując w obszernych wówczas kniejach co otaczały stolicę wielkiego państwa, upodobał sobie szczególnie wioszczkę Milanów, jako położoną blisko Warszawy, w ślicznej nadwiślańskiej okolicy, nabył ją w r. 1677 od Milanowskich za 35,000 złotych ówczesnych, wraz z przyległościami Powsinem małym i Zawadami.

Niechętni królowi panowie, podburzyli przeciw Sobieskiemu, powolną sobie szlachcie, która na sejmie wystąpiła z sarkaniem i wyrzutami, że król nabywa na dziedzictwo dobra ziemskie.

Czwarty rok się zaczynał właśnie od sławnego zwycięstwa Jana III pod Chocimem nad Turkami. Był wówczas jeszcze hetmanem w kor. Zwycięstwo to dało mu koronę. Mnóstwo przygnano wtedy jeńców mahometańskich. Król ich użył do pracy przy budowie pałacu i urządzeniu wspaniałego ogrodu.

Sam zakreślił mu granice i z całym zapalem wziął się do przyspieszenia i ukończenia tej siedziby prawdziwie królewskiej.

W przedkiem skutecznieniu zamierzonego dzieła, wielką pomoc miał z licznych zastępów niewolników tureckich. Jan III sprowadził z Włoch, z którymi ściśle nas dawniej stosunki łączyły, biegłych mistrzów w budownictwie, rzeźbiarstwie, snycerstwie i malarstwie.

Król, w wolnych chwilach zamieszkując skromny dworek Milanowski, sam naglił robotników i dozował, a ustroił wiejska w krótkim przeciągu czasu zmieniła się do niepoznania.

Gdzie dawniej piaszczysta zalegała wydma, wzniesiono okazały pałac, zdobny sztuką; wyrósł jak z ziemi zachwycający ogród, w którym niejedno drzewo, ręką bohaterską pogromcy Turków sadzone, dziś dziwi swym ogromem i szeroki jak namiot cień daje.

Wtedy to dawną wioski nazwę Milanów, zamieniono na włoskie Villa nuova, które spolszczono na Willanów. Dla zaokrąglenia nowej posiadłości, dokupił król Jan niektóre części na Służewie, Wolicy i Powsinie większym.

Do upiększenia ogrodu posłużyły mu już wówczas starodrzewy lip, pozostałe z dawnego ogrodu Milanowskich, i owe olbrzymie nadwiślańskie topole, już rozrosłe za czasów króla Jana III, pod których cieniem odpoczywał po trudach panowania i wypraw

wojennych, lub przechodził się i dumał z przyjacielem lat dawnych hetmanem Jabłonowskim.

Tu w pałacu już ukończonym, d. 17 czerwca 1696 r., umarł król Jan Sobieski, a zgon jego pokrył żałobą cały naród.

Majątność willanowska dostała się najmłodszemu z jego synów, Konstantemu, który wraz z bratem swoim Aleksandrem przyjmował tu wspaniałe d. 12 stycznia 1698 r. Augusta II, spieszącego po koronacji z Krakowa do Warszawy.

Kiedy w r. 1702 Karol XII król szwedzki, po pogromie Augusta II, stanął na Pradze, kazał się d. 23 maja tajemnie przewieźć przez Wisłę i przybył do Willanowa. Gorący wielbiciel zmarłego bohatera, w najdrobniejszych szczegółach oglądał pomieszkaniem całe Jana III; najdłużej zatrzymał się w sypialni, gdzie wszystkie sprzęty których zmarły używał przechowywano troskliwie. Stał tu długo i dumał, jakby przeczuwając przyszłe swe klęski i śmierć niedaleką. W następnym roku przybył tu powtórnie Karol XII d. 2 kwietnia i trzygodzinną tajemną odbył naradę z prymasem Michałem Radziejowskim.

Po upadku potęgi szwedzkiej, kiedy August II już spokojniejsze zaczął panowanie, pragnął nabyć Willanów w r. 1720 i w tym celu robił starania, które speliły bezskutecznie. Król Karol Konstanty sprzedał dobra willanowskie w r. 1724 Helenie z Lubomirskich Sieniawskiej, wdowie po Adanie hetmanie wielkim koronnym i kasztelanie krakowskim; nastę-

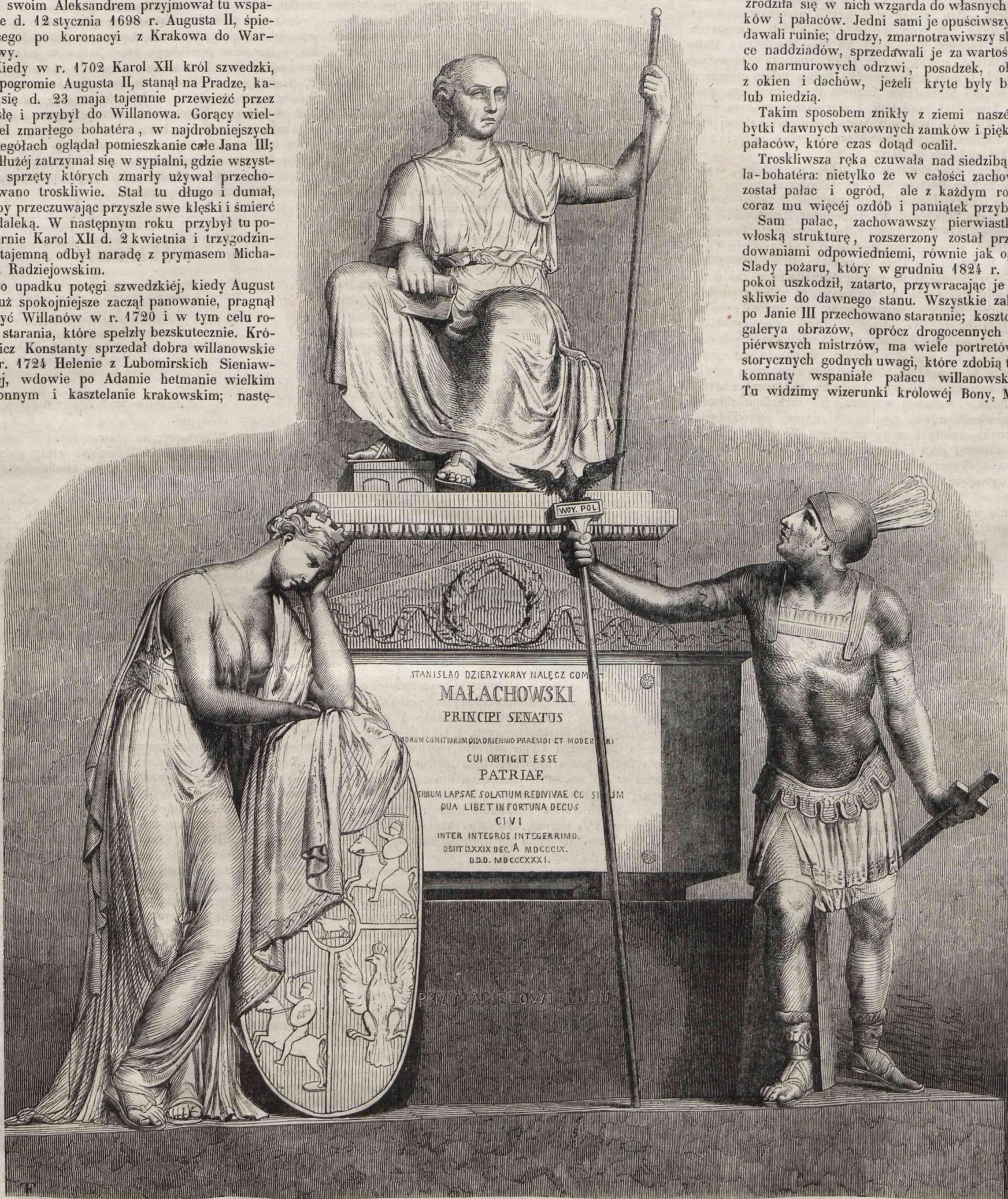
Niemcewicz, który w r. 1817 zwiadał Willanów, znając niestałość koryta Wisły, lękał się: „iż tyle pamiątek, tyle nakładów, uszedłszy przed mieczem i ogniem, straszniejszym nad inne zagrożone są żywiołem, tą samą rzeką, która stanowi jedną z miejsc tych piękności.“ (Podróże historyczne, Petersburg 1859 r.)

w ruinę, nie tylko pożogą wojenną, ale niedbalstwem samych ich właścicieli, gdy panowie rzucali chętnie i na wysięgi nie tylko gmachy w których się zrodzili, gdzie przepędzili wiek młody, ale uciekali jak przed morową zarazą z ojczyźnej ziemi, ażeby na cudzej zmarnotrawić dostaki przez przodków zebrane, stracić zdrowie i pokalać duszę, — wtedy zrodziła się w nich wzdarda do własnych zamków i pałaców. Jedni sami je opuściwszy, oddawali ruinie; drudzy, zmarnotrawiwszy skarbyce naddziadów, sprzedawali je za wartość tylko marmurowych odrzwi, posadzek, ołowiu z okien i dachów, jeżeli kryte były blachą lub miedzią.

Takim sposobem znikły z ziemi naszej zabytki dawnych warownych zamków i pięknych pałaców, które czas dotąd ocalił.

Troskliwsza ręka czuwała nad siedzibą króla-bohatera: nie tylko że w całości zachowany został pałac i ogród, ale z każdym rokiem coraz mu więcej ozdób i pamiątek przybywa.

Sam pałac, zachowawszy pierwiastkową włoską strukturę, rozszerzony został przybudowaniami odpowiedniami, równie jak ogród. Ślady pożaru, który w grudniu 1824 r. kilka pokoi uszkodził, zatarto, przywracając je troskliwie do dawnego stanu. Wszystkie zabytki po Janie III przechowano starannie; kosztowna galeria obrazów, oprócz drogocennych prac pierwszych mistrzów, ma wiele portretów historycznych godnych uwagi, które zdobią także komnaty wspaniałe pałacu willanowskiego. Tu widzimy wizerunki królowej Bony, Maryi



POMNIK STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO W KOŚCIELE ŚW. JANA W WARSZAWIE. (Rysował z oryginału Tegazzo).

nie odziedziczyła je jej córka, małżonka Augusta Czartoryskiego wojewody ruskiego, córka zaś tych Izabella, wydana za Stanisława Lubomirskiego marszałka wielkiego koronnego, otrzymała w posagu dobra willanowskie. Po niej odziedziczyła je córka ich Aleksandra, małżonka Stanisława Kostki Potockiego, i wniosła w dom Potockich, w którym dotychczas pozostają.

Na szczęście trwoga ta dotychczas okazała się daremną. Wisła, która dawniej płynęła pod samym Willanowem, zmieniła swe koryto, odsuwając się od ulubionego siedliska króla Sobieskiego. Dziś tylko odnoga jej, starą Wisłą przezwaną, ogrodu willanowskiego dotyka.

Kiedy tyle wspaniałych zamków naszych poszło

Ludwika, króla Michała i Eleonory, Sobieskiego i żony jego konno, Jana Zamojskiego, Jerzego Mniszcha, Andrzeja Batorego kardynała zabitego w roku 1599, którego pamięć wskrzesił pięknym dramatem Józef Korzeniowski, Jana Karola Chodkiewicza zwycięzcę pod Kircholmem, księcia Ostrogskiego, Lwa Sapięhy, księcia Zbarazkiego, sławnego poselstwem do Turcji,

Stanisława Koniecpolskiego hetmana, Stefana Czarnieckiego, Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego, zmarłego w roku 1702, a zaufanego przyjaciela króla Jana III, Morsztyna podskarbiego i syna jego hrabiego de Chateauville generała francuzkiego, Zofii Opalińskiej, matki królowej Leszczyńskiej i ostatniej z Sieniawskich, Maryi Zofii, pierwszego ślubu Denhoffowej, drugiego Czartoryskiej wojewodziny ruskiej. Znajdujemy tu nadto szereg portretów Potockich i rodzin z nimi spokrewnionych: Lubomirskich, Radziwiłłów, Wiśniowieckich, Sieniawskich i Czartoryskich.

Między obrazami w galerii zwraca uwagę szczególna pamiątka. Jest to na desce od fortepianu namalowany Parnas, gdzie wśród pejzażu Van Idena, są osoby przydane przez Diepenbecka. Fortepian ten jest darem małżonki cesarza Leopolda, wdzięcznej za oswobodzenie Wiednia 1683 r., która przesała go królowej Sobieskiej, wraz z pochlebnym własnoręcznym listem, dotąd zachowanym w archiwum willanowskim.

Z późniejszych czasów są tu wizerunki: Krasickiego, Piramowicza, Kopczyńskiego, Naruszewicza, Niemcewicza, Staszica, księcia Józefa Poniatowskiego i dziada dzisiejszego właściciela, zrobiony przez Dawida, jedno z najlepszych dzieł jego. Zwraca także uwagę rzewny treścią obraz Angeliki Kaufmann, przedstawiającej Krystynę Potocką, córkę Ignacego, skrapiającą kwia-

Pokoje zamieszkiwane przez króla Jana III, pokryte są obiciami i historycznymi obrazami. Widzimy tam Zygmunta Augusta w lekkiej zbroi, z hełmem na stoliku; Władysława IV jako królewicza, z buławą, w żupanie i ferezy; późniejszą jego żonę Cecylią Renatę w stroju flamandzkim, z łańcuchem na szyi; Jana Kazimierza w pancerzu i ferezy ponsowej; Jana III pod

nowi Sobieskiemu: łóżko na którym sypiał, stoły, krzesła, biurko czarne perłową macią wysadzane, z Rzymu w darze przesłane, szafę hebanową, w której są jeszcze rogi myśliwskie, szklanki, kielichy z herbami, kufle szklane i gliniane, z napisami i latami 1526, 1532, 1564, 1666 i 1677.

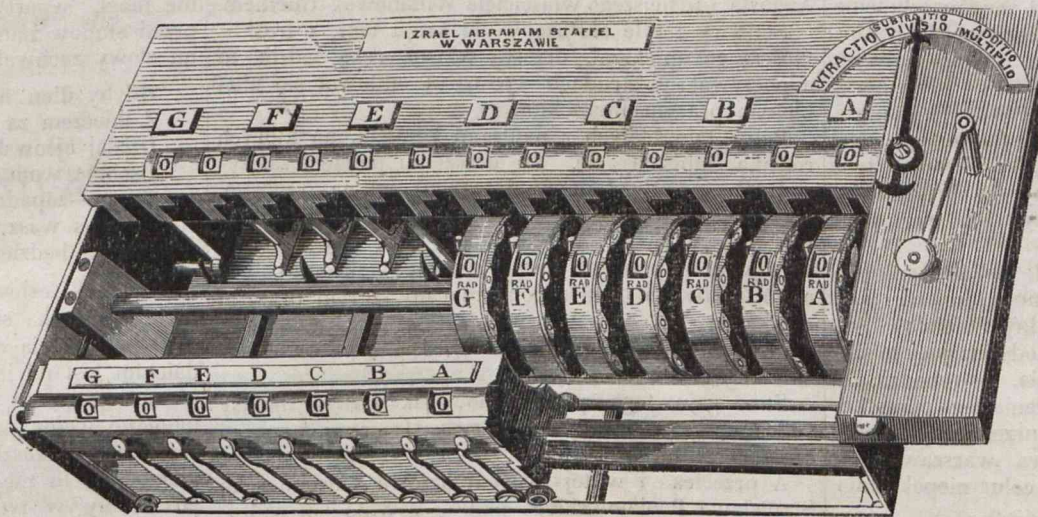
Nie opisujemy innych komnat wspaniałego pałacu, przepelnionych różnymi zabytkami sztuki i osobliwościami, a przystępujemy do wspomnień ojczystych przywiązanych do tego miejsca.

Kościół w Willanowie, przebudowany staraniem dzisiejszych właścicieli, przedstawionym już został w nrze 186 naszego pisma. Szpital, ochrona, domy murowane miejskie i dworskie, nadają Willanowowi więcej pozor miasteczka niż wioski.

Na obszernym trawniku przed pałacem, obok kościoła parafialnego, zastanawia wspaniały sarkofag Stanisława Potockiego b. prezesa senatu i jego małżonki Aleksandry z Lubomirskich, podług planu Henryka Marconiego, wykonany przez Jakuba Tatar-kiewicza.

W nowej części ogrodu willanowskiego przy pałacu, ponad łąką wiślaną, stoi pomnik podłużny w kształcie sarkofagu. Żaden napis nie objaśnia celu jego wzniesienia, a jednakże to pamiątka historyczna.

Po szczęśliwie ukończonej kampanii 1809 r., gdy garstka wojska naszego oparła się przeważnym siłom



Machina rachunkowa I. A. Staffla w Warszawie.

Wiedniem i obraz rodzinny jego, w którym widać króla, królową i pięcioro dzieci. Osobno portrety Aleksandra i Konstantego synów i Teresy Kunegundy córki, wydanej za elektora bawarskiego. Augusta II w zbroi, z orderem i płaszczem, mającego za sobą murzyna, i drugi tegoż króla w żupanie ponsowym;



WILLANÓW. (Rysował z natury Podbielski).

ty około grobowca matki, które wkrótce i na jej mogile wyrastać miały.

Nie rozszéramy się tu nad bogatą galerią willanowską, którą zdobią oryginały najpiérwszych mistrzów malarstwa różnych szkół, opis bowiem jej stanowić może osobną księgę; powiemy tylko jeszcze o tych pamiątkach, które nas bliżej obchodzą.

Stanisława Leszczyńskiego w zbroi; Augusta III i żony jego, przez Mengsa; króla Stanisława Poniatowskiego i Fryderyka Augusta księcia warszawskiego. Godnym jeszcze uwagi jest starożytny wizerunek Konrada księcia mazowieckiego z r. 1246, w czapeczce płaskiej, w kapie czarnej, z paciorkami w rękę.

Zachowano tu wszelkie sprzęty służące niegdys Ja-

austryackim i zmusiła je do opuszczenia granic księstwa warszawskiego, Towarzystwo warszawskie przystąpiło do posiedzenia publicznego d. 22 grudnia 1809 r., świetnie uczciło pamięć walecznych. Nie było wspanialszego obrzędu w skromnej sali Towarzystwa na Kanonii. Dziedzic Willanowa, Stanisław Potocki, przygotował jedną z najpiękniejszych mów swo-

ich: „Pochwałę walecznych Polaków w wojnie 1809 r. poległych.“ Potrzeba było uczcić ich pamięć i wznosić poezją. W pełni zasłużonej sławy zył wtedy Ludwik Osiński. Jego wezwało Towarzystwo, ażeby przyłożył się talentem swoim do podniesienia tej uroczystości. Osiński w wigilię dnia obchodu wyszedł na rynek Starego-miasta Warszawy, a obchodząc stary ratusz miejski, szukał natchnienia. I spłynęło nań z tych omszonych kilkoma wiekami murów tchnienie poetyckie: „Oda na powrót zwyciężkiego wojska,“ którą téżże nocy napisał, nietylko jest najpiękniejszym z utworów Osińskiego, ale zarazem prawdziwą perłą poezji tych czasów.

Potocki, ogłaszając drukiem swoje *Pochwały i mowy* 1816 r., w przypisku mówi: „Ten skromny lecz trwały pomnik już jest wzniesiony w Willanowie, a na nim umieszczone imiona wszystkich rycerzy w tej mowie objętych.“

Pomnik ten kamienny stoi dotąd, ale żadnych na nim napisów niema. Zniknęły z niego imiona tych walecznych, które tu wyrzył czcigodny Stanisław Potocki, na wieczystą pamiątkę. Dziś odwiedzający tę siedzibę wielkiego wojownika i króla, oswoobodziciela Wiednia, nie wiedzą powodu postawienia tego pomnika.

Po zajęciu Warszawy 1809 r. przez arcy-księcia Ferdynanda, oddziały wojsk księstwa warszawskiego przeprowały się przez Wisłę, w celu niepokojenia nieprzyjaciela.

W jednej z takich wycieczek kapitan Burski, na czele oddziału swego, przeprowały się przez Wisłę, uderzył na przeważny w sile posterunek austriacki w Willanowie. Po dzielnym natarciu, Burski, przesyty kulami, pada.

O nim to w swojej mowie wyrzekł Potocki:

„Nieopodal wiejskiego Jana III mieszkania, postradałeś życie, waleczny kapitanie Burski. Wojenna cię trąba do boju z domowego wywołała zacisza. Spoczywasz w godnym mężstwa grobie, pod cieniem warzynchów ręką bohatera szczepionych.“

Dla uczczenia pamięci poległego, Potocki położył kamień w gaju willanowskim; teraz śladu po nim nie zostało.

Na cmentarzu tutejszym, troskliwie utrzymywanym staraniem dzisiejszych właścicieli tej majątności, powstała piękna i ozdobna kaplica. W niej, w podziemnym grobie, spoczywają trumny ze zwłokami Ignacego i Stanisława Potockich. Wewnątrz po dwóch stronach ołtarza są dwa jednakowe sarkofagi tychże, z herbem rodowym Potockich i stosownymi napisami.

Na cmentarzu Willanowa, gdzie chowani są i włościanie, pomiędzy prostymi krzyżami drewnianymi, wznoszą się i ozdobne z kamienia nagrobki. Tu spoczywa w kwiecie wieku zgasły artysta muzyczny Teodor Wodnicki; tu w mogile ziemnej Hipolit Kownacki († d. 28 marca 1854), autor *Dziejów księstwa mazowieckiego*, tłumacz Galla i wielu kronik łacińskich, przez długie lata bibliotekarz miejscowy.

Księgozbiór willanowski, jeden z ważniejszych w Polsce, obfituje nietylko w rzadkości bibliograficzne, ale zasobny jest także w ważne rękopisma do dziejów i literatury ojczyznej. Kownacki był szambelanem Stanisława Augusta. Po wyjeździe króla do Petersburga, Stanisław Potocki, ceniąc w Kownackim naukę i biegłość w językach, wezwał go na bibliotekarza do Willanowa. Ódąd zaczyna się szereg prac jego naukowych. Przekładał swoje kroniki Galla, Baszki, Dzierzwy i inne, drukował własnym nakładem, bo na tak poważne i suche przedmioty nakładcy wówczas znaleźć nie mógł. Wiele ustępów z akt Górskiego umieścił w *Pamiętniku warszawskim* redakcyi F. Bentkowskiego. Wierzył w to, że w Długoszu są źródła kronikarzy takich, co choć przyjęli wiarę i oświatę chrześcijańską, sami byli poganami. Brał więc z tego historyka ustępy, które mu się zdawały że są pióra takich pisarzy. Ale śmiałej, oryginalnej myśli nie mógł rozwinąć, bo brakło mu krytyki historycznej. Umarł w sędziwym wieku, blisko stuletni starzec.

Obecnie zawiaduje biblioteką willanowską znany z prac naukowych Stanisław Przyłęcki, po którego nauce i gorliwości spodziewamy się, że niezadługo, bliżej nas zapozna z jej skarbami.

Oddawna rzucono myśl wydania album willanowskiego, którego zadaniem być miało poznanie bliższe z Willanowem, zarówno z uroczemi jego miejscami, które przyroda i sztuka upięknily, jak z zażytkami przeszłości narodowej, a zarazem i sztuki. Tekst obszerny, miał obejmować szczegółowy opis pamiątek historycznych, obrazów galerii i dokładną wiadomość o bogatym księgozbiórze willanowskim. Piękna ta myśl, szkoda że dotąd spełnioną nie została.

Do majątności Willanowa należy pyszny ogród w Natolinie (dawniej Bazantarnia zwany) jeden z najpiękniejszych nietylko w kraju naszym, ale i w obcych. Ci którzy zwidzili najstawniejsze w Anglii i

Francyi parki, Natolinowi bez uprzedzenia dają pierwszeństwo.

Dojeżdżając do Willanowa, po prawej stronie drogi od Służewa, zwraca oczy zagajone miejsce. Zdaje się jakby to był cmentarz z ozdobnymi grobowcami. Jest to ustronie wiejskie Gucin, we wdzięcznym i miłym położeniu. Założył je Stanisław Kostka Potocki w r. 1817 i nazwał od imienia swego wnuka Augusta (dzisiejszego właściciela Willanowa), Gucinem.

Sędziwy i tyle zasłużony dla kraju mąż, z troskliwością go upiększał, drzewa własną ręką sadził; tu odpoczywał po trudach życia, tu oddawał się ulubionym pracom literackim.

Pełno tam białych z napisami kamieni, na których rodzina zapisała się, ku uczczeniu pamięci założyciela Gucina. Śród drzew i trawników, na wzgórku, wznosi się wspinały sarkofag, który mu położyła pozostała wdowa.

Najwięcej przecież zwraca uwagę skromny kamień, jakby na daru zieloną rzucony, z tym prostym napisem:

„Dobremu panu, wdzięczni włościanie dóbr willanowskich, 14 września 1821 r.“

Straż gaju tego powierzono, jak dawne napisy świadczą: „w terażniejsze i przyszłe czasy tym, co cenią cnotę i zasługę.“

A przecież i w tej ustroni drzewa sadzone ręką Stanisława Poniatowskiego padły, równie jak sadzone ręką jego przyjaciół.

Gaj ten wydaje się teraz jakby świeżo założony, chociaż upłynęło już z górą lat czterdzieści, gdy go Stanisław Potocki wybrał i zaczął ozdabiać na miłe, ciche dla siebie ustronie, gdzie w prawdziwie wiejskiej okolicy, śród cienia drzew i stawów czystej wody, ochoczo przyjmował przyjaciół, co go licznie odwiedzali.

W pobliżu Willanowa leży osada zwana dawniej Roskoszą, później darowana przez Potockich J. U. Niemcewiczowi i od jego imienia Ursynowem przewana. Mały pałacyk i ogród w ślicznym położeniu, z kawkami pola, stanowiły dziedzinę sędziwego poety. Kiedy w r. 1830 odwiedzał go młody wówczas Juliusz Słowacki, starodrzewy dawały cień i chłód miły w skwar letni; ogród cały więcej do lasu podobny; balsamiczną wonią napełniał powietrze. W pośrodku ogromnych drzew, wychylały się małe łączki, na których pasła się jedyna krowa Niemcewicza, co mu dawała mleko i śmietankę, i dwa złote, jak sam mówił Słowackiemu, dochodu na tydzień. Niedaleko pałacyku wznosiła się mała altanka z kory, na której wszyscy odwiedzający to ustronie pisywali wierszyki na pochwałę Niemcewicza. Słowacki jednak żadnych nie znalazł, bo je sędziwy właściciel zdzierać kazał przez skromność.

Na obszernych równinach nieopodal Willanowa w r. 1732 wyprawił August II sławny *kampement*, (czyli rewią) na cześć swjej córki Anny Orzelskiej, opisany malowniczym piórem Juliana Bartoszewicza, ze wszystkimi szczegółami. (Przegląd naukowy, tom III z r. 1847). Daje on obraz dokładny ówczesnego popędu do wystawnych zabaw i zbytku, a zarazem marnotrawstwa.

Willanów wówczas niesłychaną wrzawą zabrzmiął, bo w nim ucztował ochoczo do pułhara August II, w towarzystwie pięknych kobiet.

Czytałem w jednym *Sylwa-rerum*, że podczas owego *kampementu* w sypialni Jana Sobieskiego ktoś ze starych domowników willanowskich usłyszał ciężkie westchnienie, a gdy podniósł oczy, ujrzał w cieniu oswoobodziciela Wiednia, jak stał przy framudze okna. Dreszcz go śmiertelny przejął, stanął osłupiały i wlepił oczy w widmo królewskie, a znał Jana III w dziecięcych swoich latach.

Huk trąb i kotłów, pomieszany z salwą artylerji, kiedy August wznosił pułhar wiwatowy na cześć Anny Orzelskiej, wrócił mu przytomność.

Stary dworzaniin wybiegł z pałacu do ogrodu. Tam nad łaczą wisłaną, gdzie stał krzyż z męką Bożą, pod którym odmawiał Jan Sobieski paciérze wieczorne, upadł na kolana i gorąco się ze łzami modlił za jego duszę.

K. Wł. W.

JERZY LUBOMIRSKI,

Dramat historyczny.

Napisał Józef Szujski.

Lwów 1863 r.

Trzeci to już raz literatura polska daje nam dramatyczny obraz upadku wielkiego w ojczyźnie człowieka. Ważność chwili, olbrzymiość wysilen, powikłanie faktów, cechujące głośną a nieszczęśliwą sprawę z roku 1661, przedstawiały oczom naszym wyborny do dramatycznego wątku materiał,

z którego jeżeli nie w zupełności szczęśliwe zbudował dzieło, to przynajmniej najszczęśliwiej dotąd skoryzystał, bo najmniej rozmiął się z prawami krytyki dziejowej, p. Józef Szujski. Dla niego *Jerzy Lubomirski* nie jest tym bezwarunkowo idealnym obrońcą praw i konstytucyjnego dobra Rzeczypospolitej: jest to owszem człowiek pełen szlachetności i wielkości serca, ale ułomny i słaby, koniecznością, której uchylić nie mógł, wparty na drogę błędu; człowiek, który przed stanowczym wzięciem się do dzieła, jeszcze temi słowy zachwala je przed synami:

Gdyby dłoń wasza kiedy się wznosiła

Z nieczem za sprawę, za którą się wzniosła

Dzisiaj ojcowiska dłoń:—niechaj jej siła

Uschnie wam w szpiku kości, niech wyniosła

Dumą—zapadnie pierś,—niech ją śmierć stoczy,

Bo was wasz ojciec przeklnie w krajach nocy,

Bo mu będziecie zgubą miast pomocy.

A jednak człowiek ten, tak definiujący swój zamiar, nie waha się sam go spełnić, silny wołą lecz słaby wielkością dumy obrazonej. Jakżeż ten człowiek dalekim jest od ideału! W samej rzeczy, niema sądu, niema argumentu, co by mógł oczyścić koryfeusza bratobójczej wojny, w okolicznościach zwłaszcza jakie towarzyszyły rokoszowi z r. 1661, nad którymi rozszerzać się tu nie będziemy, nie chcąc powtarzać tego, cośmy w tym samym przedmiocie powiedzieli z tego samego miejsca (N. 96 Tygodnika).—P. Szujski, jako sam historyk niepospolitego uzdolnienia, czuł to aż nadto dobrze, i dlatego kręśląc moralną fizjognomię hetmana, mniej więcej zręcznymi fortelami poetyckimi potrafił uniknąć przesady, zostawił mu tyle tylko światła, ile mu go nadawała przeszłość, wrodzona wyższość, ile wreszcie było potrzeba, aby czytelnik z przyjemnością i sympatją, z serdecznym uzaleniem wzrok na tej postaci zatrzymał. Dzieło to p. Szujskiego mniej tedy jest idealizowaniem głównego bohatera, jak raczej miniaturowym przedstawieniem tego bolesnego krajowych dziejów epizodu, w którym rząd ówczesny chce zrobić dla narodu dobrze, a najgorszych do tego używa ludzi i środków; naród zaś pragnąłby nie oddzielić się od rządu, ale nie umie dla przyszłości poświęcić miłego widma szlacheckich prerogatyw. I jedni i drudzy wołają na przebój o zabezpieczenie całości budynku, jednego pragną, a tymczasem zejsz się z sobą nie mogą i budynek wali się pod ciosami tych rąk, które miały go podtrzymywać. Ani król Lubomirski, ani ten króla dośiadać nie może inaczej, tylko przez wyłom uczyniony w gmachu, który nazywają ojczyzną.

Taka jest właściwie treść tego chaosu scen pełnych życia, z których składa się utwór p. Szujskiego. Jan Kazimierz i Lubomirski przedstawieni są jako ludzie pełni dobrych chęci, obaj po królewsku dumni, i obaj zarówno słabi; obaj mają przy boku po jednym szatanie—kusicielu, którego podmuchem ulegają po woli czy po niewoli, sądząc się samodzielnymi. Jednym z tych skrytych mentorów jest: przy królu Marya-Ludwika, drugim przy hetmanie szlachecki intrygant Grzymultowski. Kilka razy w ciągu dramatu obaj naczelni zapaśnicy już już mają złożone broń i wzajemne urazy na ołtarzu sprawy publicznej; ale w téżże samej chwili wyłazi jak z pod ziemi szatan i każdemu z nich podsadza nowy klin, rozsadzający ten dobroczynny zamiar, tak iż przez to jedynie myśl przetworu państwowego w żaden sposób dojrzeć nie może.

Jeżeli więc nie będzie nam chodź o to, aby w dramacie znajdował się koniecznie jakiś ideał czysty i silny, który, dążąc do wielkiego celu, upadnie wprawdzie, ale upadnie siłą woli wyższej nad rachubę ludzką i środki ziemskie, nie zaś dobrowolną winą słabości własnej,—to nie zabraknie utworowi pana Szujskiego, aby go nazwać istotnie pięknym dramatem. Nie ograniczył się bowiem autor na wywiersonianiu wydatniejszych kronikarskich relacyj, ale owszem starał się dusze działających tam ludzi malowniczym wyobrazić słowem, uzewnętrznić tajniki ich serca w sposób poecie tylko właściwy; z ust wszystkich płynie rzeczywistość melodia niezepsuta żadnym pospolitym dźwiękiem; w całym poemacie rozbija się jakiś głuchy a rozdzierający jęk nieszczęścia; a nade wszystko cierpienia bohatera głównego wyrażone energicznie i w sposób odkrywający w autorze niemały zasób lirycznych środków. Zawiele jednak osób uwija się na scenie, zawiele obraz obejmuje przestrzeni, aby każda postać mogła być co do ogółu charakteru równie wykończoną i udatną. Dotąd to jakoś Szekspierowi tylko nieład i rozrzucanie się nie przeszkadzały rzeźbić i wykończyć: w Lubomirskim stanowią one widoczną przeszkodę, która szczególnie objawiła się w przesłiznie naszkicowanym marszałku związku wojskowego, Świdorskim. Liryczna poetyckość tego

utworu, obrazowanie wspaniałe, odwraca wzrok czytającego od dramatycznych niedostatków, a nawet od zadziwiającej słabości wersyfikacji, lekceważonej przez wielu, ale nie do wytłumaczenia w tak utalentowanym pisarzu, a w każdym razie niezbędnej do uzupełnienia wszystkich warunków estetyki poetycznej.

Kazimierz Kaszewski.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

29 maja.

Najważniejszym dziś faktem:—zamknięcie posiedzenia izby berlińskiej.

W dniu 21 maja, wkrótce po rozpoczęciu posiedzenia, prezes ministrów p. Bismarck wszedł do sali sejmowej i odczytał zgromadzonym postom wolę królewską. Monarcha oświadcza że przywileje ministrów, oparte na zasadzie § 60 ustawy, naruszone zostały przez izbę na posiedzeniu w d. 14 b. m. i w wątpliwość podane. Król Wilhelm napomina izbę, aby zatwierdziła prawa służące ministrom z mocy konstytucji i dała im możliwość współdziałania, inaczej bowiem obrady sejmu żadnego rezultatu wydać nie mogą. Po odczytaniu tego listu, p. Bismarck opuścił salę, izba zaś przystąpiła natychmiast do obrad nad tak ważnym przedmiotem. Wniosek Virchowa, aby reskrypt królewski odesłać niezwłocznie do komisji adresowej, poparty przez hr. Szwerina i p. Sybel, przyjęto jednomyślnie. W parę dni potem komisja adresowa przedstawiła projekt adresu do monarchy, który większością głosów przyjęto. Deputacja sejmowa nie otrzymała posłuchania i przesłała adres do ministerium. Nareszcie, na posiedzeniu izby w d. 27 b. m. marszałek odczytał odpowiedź króla, niekontrasygnowaną przez ministrów. Według depeszy z Berlina z tegoż dnia, treść odpowiedzi jest następująca: „Z powodu przerwania mowy ministrowi wojny, król trwa w opinii wyrażonej w jego ostatnim liście. Król dobrze zna położenie kraju. Izba w adresie swoim odjęła nadzieję wspólnego działania. Postawa izby w kwestiach zagranicznych mocno zasmuciła króla. Prusy nie więcej są odosobnione jak inne mocarstwa. Niektórzy deputowani grozili odebraniem środków prowadzenia wojny. Takie nieusprawiedliwione roszczenia, rozszerzają zakres konstytucyjnych praw izby, przeciw czemu król z całą energią wystąpi i nie dopuści ograniczenia w czemkolwiek prerogatywy korony. Ministrowie posiadają zaufanie monarchy, a postępowanie ich król pochwala.“ Następnie minister spraw wewnętrznych hr. Eulenburg zawiadomił, że o godzinie 2ej po południu nastąpi zamknięcie izb w białej sali zamku. Gazeta Krzyżowa utrzymuje, że ta przerwa w pracach prawodawczych potrwa do d. 45 stycznia 1864 r.

Wybory we Francji zwracają na siebie uwagę całej publiczności. Oprócz zwykłej agitacji wyborczej i walki kandydatów rządowych i niezawisłych, wystąpienie znakomitszych przedstawicieli dawnych rządów roznamiętniło opinią powszechną. Kandydatura słynnego historyka cesarstwa p. Thiers, dała nawet powód ministrowi spraw wewnętrznych p. de Persigny do napisania bardzo namiętnego listu, który niemałe w Paryżu wywołał wrażenie. Dzienniki półrządowe silnie napadają na stronnictwa opozycyjne. Constitutionnel, w artykule p. Paulin de Limayrac, powiada: „Wkrótce ustana intryga między dawnych stronnictw, którzy za pośrednictwem dawnych stosunków starają się wcisnąć i skazać zasadę obecnego rządu. Z fałszywego przywiązania zdarta będzie maska. Stojąc naprzeciw jawnym nieprzyjaciół, rząd będzie wolny od wszelkich krępujących względów.“ Artykuł Constitutionnela tak silnie wywarł wrażenie, że nawet renta spadła na giełdzie. Wszystko to dowodzi, że walka wyborcza będzie gorąca i zacięta. Z Meksyku nie nowego, powiadają nawet że generał Forey zawiadomił ministra wojny, że armia potrzebuje wypożyczki i przed październikiem nie może wyruszyć ku Meksykowi, z powodu chorób epidemicznych, jakieby jej grozić mogły w tej porze roku.

Nowe posiedzenie parlamentu włoskiego otwartem zostało w d. 25 b. m. Posiedzenie zagał sam król Wiktor dawno wyczekiwana mową tronową. Wiktor Emanuel dziękuje deputowanym za dokonane prace, i zapowiada iż postara się zabezpieczyć prawa narodu i jedności włoskiej. Wyraziwszy żal swój z powodu śmierci Cavoura, król wspomina że wszystkie prawie mocarstwa uznały królestwo włoskie, że pragnie aby Włochy mogły polegać na własnych siłach i prze-

-konać o tém Europę. Dalej mowa królewska wspomina o małżeństwie królowej portugalskiej, o zawartych traktatach handlowych, o znacznych postępach w organizacji armii i marynarki. W końcu król oświadcza, że bezpieczeństwo w południowych prowincjach wymaga skutecznych rozporządzeń i że rząd jego spełni swe obowiązki, i zawrze z Francją konwencją w tym przedmiocie. Mowa tronowa kończy się temi słowy: „Utrwalić swobodę, a z jej pomocą osiągnąć zupełną niepodległość i jedność ojczyzny włoskiej,—taki jest cel naszego życia.“

Wojna w Ameryce toczy się z jednakową z obu stron zjadłością. Przebieg armii północnej przez Rappahannock zakończyło się najsmutniejszą porażką. Wódz separatystów generał Lee pobił na głowę generała Hookera, który z całą armią uciekł za Rappahannock z takim pośpiechem, iż największy strach ogarnął stolicę Stanów Zjednoczonych. Prezydent Lincoln ogłosił natychmiast proklamacyą nakazującą nowy pobór wojskowy z pomocą konskrypey. Z tém wszystkiem depesza z Londynu z d. 25 maja głosi pomyślniejsze dla federalistów wieści. Generał Grant rozbił podobno korpus 14000 separatystów, przyczem najślawniejszy południowy dowódca Jackson, odniósł ranę i umarł w skutek amputacji ręki. Śmierć tego walecznego generała byłaby istotną klęską dla armii stanów południowych. Generałowie Mac-Clellan i Fremont wrócić mają do dowództwa. Most pod Waszyngtonem uzbrojono w działa szancone.

W Wiedniu czynią przygotowania do otwarcia posiedzenia rady państwa.

(Constitut. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

Ostatnie depesze. Berlin 28 maja. Posiedzenia obu izb zamknięte. Prezes ministrów p. Bismarck odczytał zgromadzonym wolę najwyższą.

Londyn 25 maja. Otrzymał wiadomości z Nowego Yorku z d. 14 b. m. Generał Grant pobił na głowę separatystów, o cztery mile od Port-Gibson w Missisipi. Federaliści zajęli najwyższy punkt na rzece York i zburzyli mosty pod Maison Blanche. Generał Jackson umarł. Van-Dorn nie żyje. Separatysta Lee zamierza przepłynąć się przez Rappahannock i uderzyć na Hookera.

Wiedeń 24 maja. Według depeszy z Konstantynopola, obawiano się aby ochotnicy z Neapolu nie wyładowali w Albanii. Na wyspie Kandy emissaryusze greccy wywołali rozruchy.

Frankfurt 26 maja. Pierwszy protokół, dotyczący ogłoszenia tronu greckiego za wakujący, podpisany został w Londynie d. 22 b. m. Drugi protokół, zapewniający opiekę mocarstw przy wyborze duńskiego księcia, oraz przyłączenie wysp jońskich, podpisanym będzie w ciągu bieżącego tygodnia.

Turyń 26 maja. W izbie deputowanych wybrano na prezesa byłego ministra Cassinis większością 166 głosów. Były prezes p. Tecchio otrzymał tylko 48 głosów.

B N I N.

Miasteczko w w. księstwie poznańskim, powiecie śremskim, leży na południe od Poznania, tuż przy miasteczku Kurniku, przy zwirowce z Poznania do Śremu, między dwoma jeziorami, to jest bnińskim i kurnickim, liczy 136 domów, 145 budynków gospodarczych i 1259 mieszkańców. Domy po większej części budowane są z drzewa, gliną wylepione, a pokryte od strony ulicy gontami, od podwórza słomą, murowanych zaś i dachówką krytych jest bardzo mało.

Bnin w dawnych czasach był znakomitym zamkiem książęcym w Wielkopolsce i jako taki spotykamy go w różnych wypadkach dziejowych. W r. 1233 Władysław Odonicz czyli Płwacz, książę wielkopolski, uchodząc przed Henrykiem Brodatym księciem wrocławskim, z którym się w otwartem polu spotkać nie śmiał, spalił i zniszczył zamek w Bninie i Śreźnie, aby się Henrykowi nie dostały; ten zaś, zająwszy je, naprawił, wojskiem swoim obsadził i przełożył nad nimi Borzywoja wnuka swego, syna margrabi morawskiego Dypolda. (1) Dalej Przemysław, robiąc działy z bratem swym Bolesławem księciem kaliskim r. 1249, ustąpił ostatniemu, prócz innych ziem, także miasto i zamek Bnin. (2) Powtórnie roku 1253 zjechałszy się w zamku Gieczu, uczynili nowe działy, w których znów Bolesławowi dostały się: Gniezno, Kalisz, ziemia rudzka, Giecz, Bnin i Biechów, (3) co zarazem zdaje się udowodniać, iż zamki te były podówczas najznakomitsze w tej okolicy. Zapewne zamek ten przez książąt wielkopolskich

powierzony był straży rodziny herbu Łódzia, która ztąd z Bnina, później Bnińskimi pisać się zaczęła, a ci miani byli zarazem za kasztelanów bnińskich; później zaś zamek stał się ich własnością. Niesiecki w spisie wojewodów poznańskich przywodzi już nawet pod r. 1120 czy 1160 Jakuba z Bnina, lecz Lelewel (1) jeżeli nie osobę tego Jakuba, to przynajmniej czas jego życia za urojony podaje. W Niesieckim (I 292) i w Kodeksie dyplomatycznym Wielkiej-polski Raczyńskiego, napotykamy kasztelanów bnińskich: w r. 1244 Jakuba, w r. 1245 Jarostiusa, w r. 1302 Mirosława, bez wyrażenia z kąd się pisali. Jakub wojewoda poznański; zmarły r. 1281, Jędrzej w latach 1282 i 1306 już się wyraźnie pisali z Bnina. Później natrafiamy jeszcze na Piotra generała wielkopolskiego, innego Piotra najprzód gnieźnieńskiego, potem poznańskiego kasztelana, Andrzeja z Bnina biskupa poznańskiego i t. d. Także Opalińscy, którzy wzięli swój początek od Bnińskich, pisali się z Bnina.

W środku XVI wieku przeszedł Bnin do rodziny Górków, lecz kiedy stał się całkowitą ich własnością, trudno podać dokładnie, gdyż dzielił się wówczas na pewne części, mające osobnych dziedziców, jak: Bnińskich, Boboleckich, Moszyńskich, Opalińskich, Radzewskich, Tomickich i Górków, którzy wszyscy byli herbu Łódzia i tworzyli zapewne początkowo jedną rodzinę, później na różne gałęzie rozdzieloną. Jeszcze r. 1540 Jan Bniński, syn Mikołaja, darował (donavit et dono in perpetuum resignavit) dobra Bnina, to jest część pewną tego miasta, z trzynastą wsiami w powiecie pyzdrowskim, bratu swemu Mikołajowi Bnińskiemu, dziedzicowi Borku; roku zaś 1542 naieżał Bnin do Andrzeja i Stanisława braci Bnińskich.

W r. 1552 umarł Andrzej Górka generał wielkopolski, i już wtenczas musiał być Bnin własnością tej rodziny, gdyż w działach pomiędzy synami jego w roku następnym, seria secunda ante festum sanctae Mariae Magdalene, dostały się Bnin i Kurnik Stanisławowi Górcie, późniejszemu wojewodzie poznańskiemu. Umarł ten Górka 1592 r., a pozostałym po nim majątkiem podzielili się siostrzeńcy jego Czarnkowsy w grodzie poznańskim, sabato ante festum s. Laurentii martyris, anno 1593. Z tych Jędrzej Czarnkowski kasztelan nakielski dostał Bnin i Kurnik; umarł r. 1617. Córka jego, zaślubiona Michałowi Działyńskiemu wojewodzie brzesko-kujawskiemu, dobra te w dom ten wniosła. Około r. 1740—1750 Teofila z Działyńskich, zamężna najprzód Szoldraska, następnie Potulicka, dojr tych dziedziczka, oddała je synowi swemu z pierwszego małżeństwa, Feliksowi Szoldrskiemu. Ztąd później powstały wielkie processa o te majątności między Szoldrskimi i Działyńskimi. Ostatni utrzymali się jednak przy nich, a teraz właścicielem Bnina jest hr. Jan Działyński.

Kościół katolicki parafialny w Bninie kto i kiedy założył, niewiadomo. Pierwsza o nim wzmianka jest w księdze konsystorskiej pod rokiem 1442, lubo nie ulega wątpliwości, że kościół ten starożytnością swoją sięga przynajmniej początków XIV wieku. Do środka XV wieku był z drzewa; dopiero roku 1463 Andrzej z Bnina biskup poznański, dziedzic miejsca, wznosił go z cegły palonej i nadał mu tegoż roku dnia 12 czerwca nową erekcyą. Ten sam biskup ustanowił tu kolegium mansjonarzy, złożone z 7 duchownych. Dziedzic Bnina Stanisław Górka, przeszedłszy do wyznania Lutra, wygnął w r. 1565 ze swych majątności duchownych katolickich, zabrawszy także wszystkie ich dochody. Wtenczas parafianie, którzy wiernymi wyznaniu katolicyzmowi pozostali, udawali się w cichości na nabożeństwo do niedalekiej wsi Tulec. W roku 1592 umarł ów Górka, a następny dziedzic i spadkobierca jego, Jędrzej Czarnkowski kasztelan nakielski, gorliwy katolik, kościół bniński wyznaniu swemu natychmiast przywrócił.

Świątynia sama, przez biskupa Andrzeja z Bnina wzniesiona w stylu gotyckim, ze sklepieniem wewnętrznym, na ośmiu filarach spoczywająca, w ciągu czterowiekowego istnienia swego ulegała dość częstym naprawom, które kształt jej pierwotny całkiem zmieniły. Osobliwie w r. 1775 dziedziczka z Potulickich Działyńska, odnawiając ten kościół wewnątrz i zewnątrz, zatarła wszystkie prawie ślady pierwotnej budowy. W XVI wieku przystawiona wieża do tej świątyni, była wyniosłą i przejrystą, lecz została spalona przez piorun. Dzisiejszą wystawił przedostatni dziedzic, hr. Tytus Działyński. Jest dość wysoka, śpiżczasta, karpiońską pokryta, otoczona u szczytu czterema małymi wieżyczkami; daje się widzieć z dalekich okolic i piękną przedstawia całość.

(1) Długosz, str. 694 A. Bielski 131.

(2) Długosz, str. 711 D.

(3) Baszków. Długosz 732 B.

(1) Rozbiory dzieł str. 324.

Przy tym kościele zaprowadzone zostało bractwo literackie i różańcowe r. 1595, a Katarzyna z Kościelickich Opalińska i ówczesny proboszcz Węclewicz, zaprowadzili r. 1760 bractwo szkaplerza. Pomnik w kościele jest tylko jeden, wyrzyty na kamieniu, przedstawiający założyciela tego kościoła Andrzeja z Bnina biskupa poznańskiego. Kościół jest pod tytułem św. Wojciecha biskupa i męczennika i św. Jadwigi wdowy.

Księgi kościelne zaczynają się od roku 1710, a z dokumentów posiada kościół najprzód erekcyę. Oglądał ją Libowicz w czasie swęj wizyty roku 1727; pisaną była na pergaminie, z pieczęcią Andrzeja z Bnina biskupa poznańskiego. Oprócz tego są trzy wizyty w języku łacińskim, z wyrażeniem wszystkich funduszów i przywilejów tego kościoła. Wizyty te są: Mikołaja Zalanowskiego archidjakona poznańskiego z r. 1696, Libowicza z polecenia Bartłomieja Tarły biskupa poznańskiego z r. 1725 i biskupa Rzyńskiego z r. 1777.

TEKLA Z BIELIŃSKICH

Lubińska.

(Dokończenie).

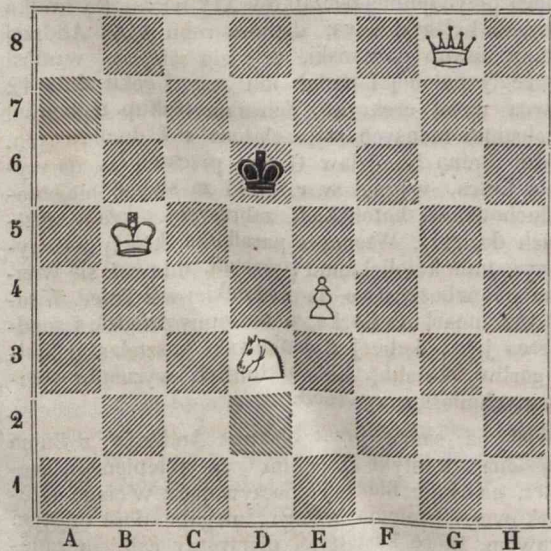
W sąsiedztwie Guzowa mieszkało kilka rodzin zacnych i ukształconych, z którymi stosunki towarzyskie sprawiały prawdziwą przyjemność. Do tych policzymy staropolski dom w Lźdebnie, gdzie mieszkała starościna wyszogrodzka z córkami; dom Łuszczewskich w Strugach, a nakoniec w Wyczulkach dom Tańskich, rodziców zasłużonej Klementyny Hoffmannowej. O ile w liczniejszym towarzystwie cicha i małomówna, o tyle w domowym kółku lub w gronie życzliwych przyjaciół poetka nasza wesołą była i ożywioną; mało dbała o poklaski światowe, ale wśród przyjaznych serc, rozwijała cały skarb dowcipu i ukształconego rozumu. Była więc duszą tych małych zebrań, układała sama komedijki wierszem i prozą, które dorastające dziatki odgrywały wspólnie z sąsiednią dziatwą. Co czwartek i co niedziela zjeżdżali się wszyscy kolejno w miejscu umówionem i zabawia-

SZACHY.

ZADANIE CLVII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 456.

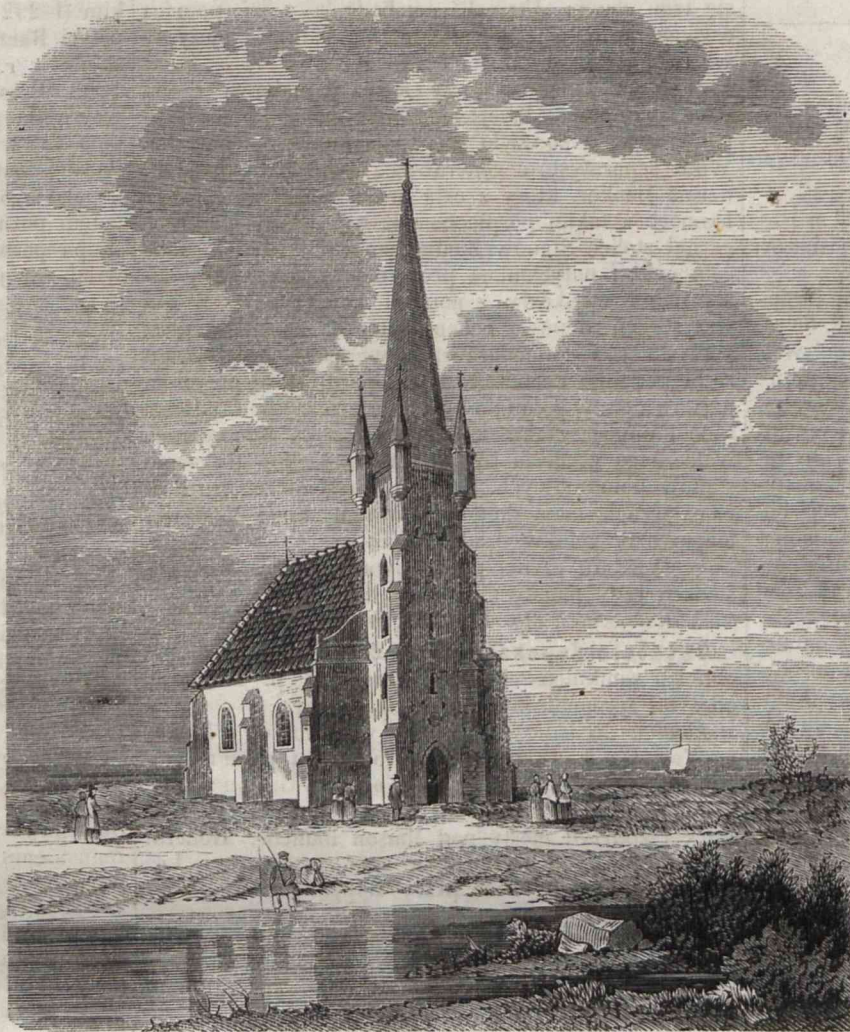
Białe.

Czarne.

- | | |
|----------------------------|-------------------|
| 1) E 7—E 8 (wieża) † . . . | 1) F 6—E 8 biorą. |
| 2) H 4—D 8 † | 2) D 6—D 8 biorą. |
| 3) B 4—C 6 † | 3) B 8—C 8. |
| 4) A 4—A 8 † | 4) B 7—B 8. (*) |
| 5) A 8—B 8 biorą † . . . | 5) C 8—D 7. |
| 6) B 8—D 8 biorą † i mat. | |

(*) Jeśli król czarny usunie się na D 7, dostanie przyspieszonego mata od wieży białej z A 8 na D 8.

li w miły i nauczający sposób. Pisano tam na zadanie rozprawki rymem i prozą, dobiérano wiersze do zadanych wyrazów lub końcówek, słowem ćwiczone umysł pożytecznie. Co miesiąc bywały liczniejsze zebrań, i wówczas odgrywano komedijki, do których treść główna zawczasu była obmyślana, sceny zaś improwizowała młodzież pod chwilowem natchnie-



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W BNINIE. (Rysował na drzewie Cegliński).

niem. Liczne grono nauczycieli chętnie brało udział w tych zabawach, co dodawało im tém poważniejszego znaczenia. Taka umysłowa gimnastyka, pożytecznie wpłynęła na rozwijanie się zdolności w młodzieży, a niemniej oddziałała korzystnie na poetkę samą, która tym sposobem nabierała coraz więcej wprawy w władaniu mową ojczystą. Nie raz też w ciągu bezsennych nocy, gdyż sypiała zawsze bardzo mało, układała w myśli po kilkadziesiąt wierszy, i te, wstawszy zrana, przelewała na papier. W tych zajęciach, otoczona przywiązaniem ojca, męża, dzieci i przyjaciół, pędziła życie swobodne i szczęśliwe, a tą swobodą technie każde jej słowo, każda ulotna piosenka. Główną podstawą tego szczęścia, téj wewnętrznej z sobą zgody, była głęboko zakorzeniona w sercu wiara. Wymowne świadectwo żywych uczuć religijnych, pozostawiła w pięknych modlitwach wierszem, które późniejszymi czasami drukowano w wielu książkach do nabożeństwa. Między temi odznaczają się szczególnie: *Modlitwa w przeciwności, hymn za umarłych i modlitwa za męża, za rodziców, za dzieci.* Z téj ostatniej niektóre wyjątki przytaczamy.

Stwórcu wszechświata, o potężny Boże!
Szczodra Twa dobroć nademną jaśnieje,
Daleś mi dziatki, w których matka może
Przyszłego szczęścia założyć nadzieje.

Za niemi teraz korne modły czynię,
Niosąc ci dzięki za te drogie dary,
Ciebie ja błagam już o to jedynie,
Byś Twój litości chciał dopełnić miary.

Miłością Boga, bliźniego zajęci,
Niech się uchronią wszelkiej serca kaźni,
Ojca i matkę niech mają w pamięci,
Niech czulej od nich doznajem przyjaźni.

A gdyby z cnoty zstąpić miały drogi,
To niech ja wprzód nieszczęśliwa matka,
Niżlibym ujrzyć miała błąd ich srogi,
Wprzód życia mego dokonam ostatka.

Albo też raczej, o mój Boże miły,
Zglądź je i zabierz rychło z tego świata,
Póki obrażać nie mają Cię siły,
I niewinności póki służą lata.

Nie jest to może poezja natchniona, ale każde słowo nacechowane uczuciem wyższem nad samolubstwo macierzyńskie; miłość to czysta, zapominająca o sobie, a pragnąca tylko cnoty i szczęśliwości dla ukochanych istot.

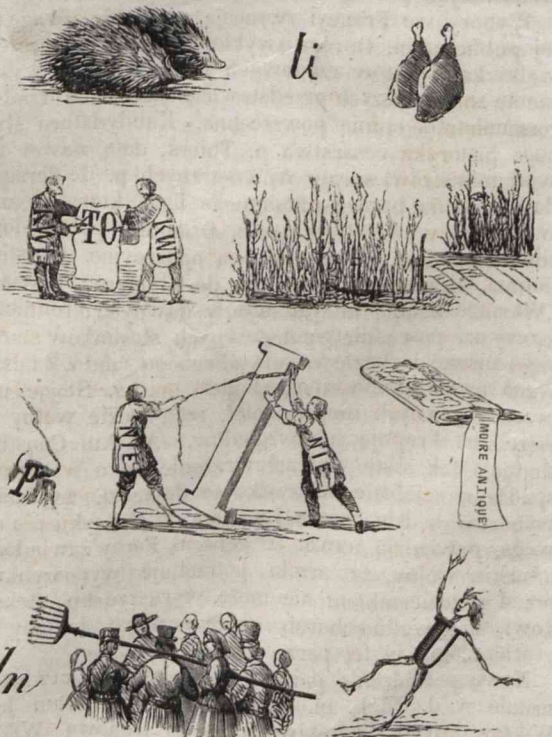
Obok uczuć głęboko religijnych, autorka naszą zachowała w pełni ową młodzieńczą wesołość, piękny kwiat czystego a niewinnego serca. Nieraz podczas zapust, lubo sama niewielki brała udział w hucznej zabawie, lubiła podniecać do niej drugich. Liczne jej piosenki wielką nacechowane są swobodą. Każda okoliczność budziła w niej natchnienie: to patrząc na śpiącą spokojnie córkę, kręśli wierszem jej obraz; to do drugiej przemawia o wartości czasu i ostrzega aby go nigdy nie trwonila niebacznie; to opiewa powrót do domu drogich dziatek, lub ukochanego małżonka; to składa życzenia zgrzybiałemu ojcu w dniu imienin; słowem z każdej okoliczności zwyczajnego życia, wysnuwa wątek tkliwej a uroczej piosenki.

Zewnętrzne wypadki miały jednak wkrótce przerwać tę jednostajną ciszę, w jakiej upływały dni poetki; miała wbrew upodobaniu własnemu, przenieść się na szerszą widownię i mimowoli ściągnąć na siebie oczy stołecznego miasta i kraju. Kiedy chorągwie Napoleona zabłysnęły po raz pierwszy nad Wisłą, a księstwo warszawskie poczęło się wewnątrz urządzać, wszyscy zdolniejsi w kraju obywatele powołani zostali do urzędów. Wówczas to mianowano Feliksa Lubińskiego ministrem sprawiedliwości. Przyjął ten urząd wkońcu roku 1806, a w skutek tego z całą rodziną przeniósł się do Warszawy i zamieszkał w pałacu własnym, niegdyś Bielińskich, przy ulicy Królewskiej.

Za tym pałacem ciągnął się wielki ogród, cokolwiek wtedy opuszczony. Staraniem pani domu urządzono w nim nowe szpalery i kłaby. Poetka z téj okoliczności skreśliła jeden z najpiękniejszych wierszy swoich.

(Ob. dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 191.
Wystawa obrazów i dzieł sztuki, wiele daje u nas
pola talentom.

(Dodatek.)

„Rośnijcie drzewa swobodnie — mówi ona — niech ziemia matka zasila was sokami, niech was orzeźwia czystą rosą. Pod dobroczynnym cieniem waszym, niech prawy obywatel przechadzając się, ochłodzi znojną głowę i rozmyśla jak służyć krajowi. Tu niech młoda matka ukolysze niemowlę na łonie, tu grono do- brych przyjaciół niechaj swobodną zabawę się gawędą, tu niech ja wysławiam pieśnią piosenką szczę- ście moje i ziomek moich.

Nowe stanowisko zmusiło autorkę naszą do świa- towego życia, tak niezgodnego z wewnętrznym jej u- sposobieniem. Jakkolwiek niechętnie, poddała się je- dnak temu, co uważała za swój obowiązek, i prowa- dziła dom otwarty, przyjmując w nim liczne towa- rzystwo z prawdziwie staropolską gościnnością. By- wała często u dworu, a znane już i cenione powszechnie jej cnoty zjednały jej szczerą szacunek i zniewo- liły serce królów. Obowiązki światowe nie prze- szkadzały jej wszakże w pełnieniu ważnych domo- wych powinności, których ciężar zmniejszył się już znacznie; dzieci bowiem podrosły i z dziesięciorga tro- je tylko młodszych potrzebowało jeszcze bacznego o- ka matki. Najstarsi synowie, natychmiast po przyby- ciu Napoleona, zaciągnęli się pod zwycięzkie jego cho- ragwie i pośpieszyli w świat szukać szczęścia i chwa- ty. Drzącą ręką pobłogosławiła im matka, wyprawia- jąc ich w drogę, a sprzeczne uczucia wstrząsały na- przemian jej sercem. Za starszymi braćmi poszli nie- zadługo i młodszy; jakoż wkrótce pięciu z nich wyta- czało krew po dalekich krańcach Europy, skrapiając nią to brzegi Dunaju, to słynne wąwozy hiszpańskie. Tkliwa matka drżała na każdą wieść z pola bitwy i gorące łzy wylewała przed Bogiem, a jednak serce jej uderzało z niewymowną chlubą, ilekroć doszła ją wieść że który z synów otrzymał wyższy stopień, lub mężną pierś zaszczytnym ozdobił krzyżem.

Pomimo dręczącego niepokoju i licznych zabiegów domowych, nie złożyła jednakże pióra, przeciwnie na- wet, talent jej nowym zajęcia blaskiem i powszech- ną zwrócił uwagę. Oddawna już poetka próbowała sił na dramatycznym polu; nabrała nasamprzód wpra- wy, przekładając wierszem takie sztuki, jak *Elfyde* tragedią na wzór dramatów greckich z angielskiego; *Siroe* dramatem z *Metastazyusza*; *Andromakę* z *Rassyna*; *Wzór męża i ojca* komedią z francuzkiego; *Szczęśli- wości* z *Voltaire*. Mieszkając jeszcze w ciszy wiejskiej, z dawnych podań ojczystych utworzyła dramat oryginalny w pięciu aktach p. n. *Wanda*.

Rzecz dzieje się w Krakowie. Po śmierci Krakusa, kiedy jeden z synów zmarłego zamordował brata o- branego książęciem, Polacy oddali rządy siostrze ich Wandzie, nie chcąc aby morderca piastował władzę ręką w krwi bratniej ubrozoną. Ledwie młoda księ- żniczka ujęła berło, Rytygier książę germański z lic- nym wojskiem staje pod murami Krakowa i wypra- wia do zamku posłów, domagając się ręki Wandy, lub też w przeciwnym razie grożąc Polsce ogniem i mieczem. Wanda sprzyja oddawna Rytygierowi, po- znała go bowiem w onczas, kiedy Krakus oddawał starszej córce swojej Libuszy władzę nad pobratym- czą ziemią czeską; ale widząc się na tronie, Wanda czuje że powinna stłumić w sercu miłość.

Walka uczucia z powinnością stanowi główną treść sztuki. Wanda odrzuca rękę Rytygiera; wódz germański rozpoczyna walkę, lecz wojsko wypowiada mu posłuszeństwo. Stało się to za sprawą młodego potomka Lechów, wychowanego pomiędzy Germana- mi. Podobnie jak późniejszy Wallenrod, Rytygier, nie mogąc przeżyć hańby, odbiera sobie życie; Wanda czyni toż samo, uniesiona rozpaczą.

Nie będziemy tu wchodzić w ścisłą krytykę, czyli Wanda odpowiada trudnym warunkom sztuki dra- matycznej, to jednak niewątpliwa, iż są w niej bar- dzo piękne ustępy. Uznała to ówczesna społe- czeństwo; z upodobaniem też przyjmowano Wandę na teatrze narodowym i głośniei obсыpywano okla- skami.

Oceniał zarówno Wandę uczony Ludwik Osński, tłumacz *Horacyuszów* i *Cynny*; on to wydobyl ją z u- krycia, jak widzimy w wierszu, którym autorka od- powiada na pochwalny wiersz jego:

Wanda, swobodnych niegdyś myśli dziecię,
W cichej ustroni kryła się nieśmiała;
Tys ją sam wskrzesił, ukazał na świecie,
Od ciebie sławy i blasku nabrała.

Nim przedstawiono Wandę w teatrze warszawskim, inny utwór naszej poetki zachwycał już widzów na scenie i dał poznać w kraju jej talent. Był to dra- mat historyczny, napisany wierszem pod tytułem *Karol Wielki i Witykind*. Sztuka ta skręśloną była pod wpływem okoliczności i przedstawioną po raz pierw- szy w teatrze narodowym 5 grudnia 1807 r., w przy-

tomności Fryderyka Augusta króla saskiego a księcia warszawskiego. Wypadki oddane w dramacie, szcze- gólnie się zbliżyły do ówczesnych wydarzeń; postać Karola Wielkiego, z zachodu trząsającego Europą, zda- wała się być mytem Napoleona, który po dziesięciu wiekach poszedł torem wielkiego poprzednika swego. Obecne przymierze cesarza z królem saskim, przypo- miinało cześć jaką mocarz Franków okazywał Witykin- dowi. Słowiańscy Wendowie, sąsiedzi Saksonów, gar- nący się niegdyś pod ich skrzydła, wyobrażali Polskę. Zbliżenie to pochwycała zreżniona autorka i utworzyła piękną całość.

Kiedy Karol Wielki, pokonawszy Lombardów we Włoszech, Saracenów w Hiszpanii, przeniósł zdobyw- czy oręż ponad brzegi Elby i Odry, Witykind na cze- łe Saksonów umiał powstrzymać zwycięzcę i w zacię- tój walce utrzymać chwałę narodu swego. Długo wa- żyły się losy wojny; nakoniec Karol, który umiał u- szanować odwagę w nieprzyjacielu, wysłał posłów do Witykinda, ofiarując mu pokój i przyjaźń. Zawie- rzył Witykind słowem cesarskim, udał się sam do miasta Attigny i tam przyjął godność księcia saskiego. Dla wzmocnienia stosunków przyjaznych, dwaj mo- narchowie ułożyli małżeństwo pomiędzy Robertem Sil- nym, synem Witykinda, a Klotyldą, młodą dziewczą z rodu Franków. Oto wypadki wzięte za osnowę sztu- ki. Zważmy teraz węzeł dramatyczny. Klotylda kocha oddawna nieznanego rycerza, którego widziała niegdyś na turniejach, a który z ręką jej otrzymał zasłużoną nagrodę. Z tego powodu opiera się woli cesarskiej. Rzecz wyjaśnia się w końcu: nieznanomy rycerz, był właśnie Robertem, synem Witykinda.

Cała sztuka pisana językiem niepospolitej czystości i mocy, zupełnie odpowiednim do przedmiotu; prze- konamy się o tem z kilku przytoczonych ustępów. Posłuchajmy jak Karol Wielki przemawia do walecz- nego rycerstwa:

Wierni sławie żołnierze, wy co w każdej chwili
Dobrzeście się ojczyźnie i mnie zasłużyli,
Czas już doznać swobody: niech waleczne męże
Nawykle do tryumfów zawieszają oręż.
W pośród nieprzelamanej tyłu zwycięstw straży,
Któż wam spokojność waszą przerwać się odważy?
Bujają orły Franków od brzegów Sekwany,
Aż ponad morz baltycznych pieniste bałwany.
Tutaj bitwy wygrane, tam twierdze zdobyte,
Nicefor sprzymierzony, Lombardy podbite,
Wendowie do ojczyzny wróceni i sławy,
Oto korzyści waszej ostatniej wyprawy,
Które teraz zupełnym uwieńczają się plonem,
Gdy wiecznotrwały pokój zawrzemy z Saksonem.

Bradamanta, rycerska dziewczę, siostra Klotyldy, wypowiada potem dzielnie w obec Karola jego bo- haterskie sprawy.

Wszędzie twój oręż słynie, wszędzie laury zbiera,
I kiedy hardych gromi, razem słabych wspiera.
Nie skąpi ci rycerstwo tryumfalnych wienców,
Rzym podbity, Lombardów król w liczbie twych
Ibin na Saragossy tronie umocniony, [jeńców,
Tak czy bierzesz, czy wzmacniasz, czy dajesz korony,
Rzymian, Franków, Germanów, ogarnia twa władza,
Przez ciebie się zachodu cesarstwo odradza,
Tys sam mieczem granice swoich państw odmie- [rzył,
Tych podbił, tych podzwignął, tych z sobą sprzy- [mierzył,
Snadno ci świat zdumiony wielkością zadziwił.

Zasługuje niemniej na uwagę piękny ustęp o bo- gatęj krainie Wendów, słowiańskich naszych praoj- ców. Jeden z wódtów przemawia w te słowa do ry- cerskiej Bradamanty:

Nie mogę tu pominąć jak lud znany z mężstwa
Dzielnie się do naszego przyłożył zwycięstwa.
Nad bystrym Elby brzegiem jest Wendów kraj żyzny,
Którego pierwszym czuciem miłość swęj ojczyzny,
Ma na północ szerokie pobratymców kraje,
Z wieków dziedziczna sława nazwisko im daje.

Bradamanta.

Równie mi już znajomy ten lud mężny w polu,
Pomnę jak dawniej jeszcze walczył przy Karolu,
Kiedy dumnych Lombardów krainę podbijał;
Tę gorliwiej mój umysł dzielny Wendom sprzyjał,
Że u nich z waleczności słynne są kobiety,
Co z krasą lica łączą rycerskie zalety.
Nieraz mi wódz ich dawne opowiadał dzieła,
I nowym dusza moja mężstwem rozplonęła.

Niemalęj ozdoby dramatowi temu dodały piękne chóry liryczne, które na scenie wzbudziły niewysto- wiony zapal.

Sztuka ta należała do najcelniejszych utworów dra- matycznych, jakie przedstawiano za czasów księstwa warszawskiego. Imię autorki, otoczone aureolą sławy, zajaśniało wtedy na polskim widowisku. W miarę jak dorastały dziatki, jak zamężne córki po jednej odda- ły się z domu, coraz wolniejsza od obowiązków ma- cierzyństwa, które niegdyś wszystkie pochłaniały jej chwile, byłaby zapewne z nową gorliwością oddała się pracy umysłowej, do czego wiodł ją niezaprzezo- ny talent. Ale Bóg inaczej rozrządził, wydzierając ją w sile wieku z łona tkliwie kochającej rodziny i po- zbawiając ojczystą naszą literaturę pożytecznego jej współdziałania.

Lubo wiała z natury, nie zapadała jednak na zdro- wiu, i nikły nie był sądził że dni jej policzone. W r. 1809 straciła ukochanego ojca; smutne wypadki kra- jowe, niespokojność o pięciu synów walczących w szeregach Napoleońskich i wystawionych na ciągłe nie- bezpieczeństwo, wszystko to dręczyło boleśnie jej serce; ale pełna ducha prawdziwie chrześcijańskiego, umiała znosić boleść i składać ją z pokorą pod krzyżem Zba- wiciela. Może być jednak iż tłumione cierpienie mó- ralne, podkopywało zwolna jej siły, aż wreszcie przy- gotowało nieuleczoną chorobę.

W roku 1810, kiedy Kraków połączony został z księstwem warszawskim, minister Łubieński wyjechał jako pełnomocnik króla do odwiecznej stolicy Jagiellonów, dla wprowadzenia tam ko- deksu Napoleońskiego i zajęcia w posiadłość tej czę- ści Galicyi. Małżonka dzieliła z nim tę podróż. Po drodze zbyczyła najprzód do Częstochowy, gdzie od- była zwykle nabożeństwo i przyjęła święte sakrama- ta. Złamała udała się w Krakowskie do wsi Strze- mieszyce, gdzie mieszkała jedna z zamężnych jej có- rek. Parę dni zbiegło przyjemnie w gronie dzieci i wnuków; wszyscy uważali nawet szczególną jej we- solość i ożywienie. Wyjechała wreszcie z dwiema za- mężnemi córkami do Krakowa. W drodze uczyła się mocno słabą, ale niepodobna było zatrzymywać się nigdzie, gdyż Kraków niecierpliwie oczekiwał zapo- wiedzianych gości i gotów był na świetne ich przy- jęcie.

Stan chorój pogorszał się jednak z każdą chwilą; szczególne odurzenie opanowało jej umysł. Nie roz- trzeżyły jej ani radośnie okrzyki Krakowian, ani dźwięki muzyki wojskowej, która wystąpiła z mar- szem tryumfalnym, gdy powóz wjeżdżał w bramy gro- du. Przed pałacem Potockich *pod baranami*, zgroma- dzili się znakomitsi obywatele, tak z miasta jak z o- kolicy, na powitanie ministra, który przedstawiał o- sobę królewską. Wyniesiono chorą z karęty i bez- przytomną złożono śpiesznie na łożu, z którego już powstać nie miała. Daremne były usiłowania lekarzy; choroba, spowodowana apoplektycznym uderzeniem krwi na mózg, coraz groźniejsze przybierała cechy i niebawem znikła nadzieja ocalenia. Sama jednakże chora nie czuła swego stanu, żądała nawet wyraź- nie, aby jej nikt w nocy nie pilnował. Mimo to cór- ki czuwały troskliwie, ukryte za kotarą, i na ich też ręką dobra matka oddała ducha Bogu, trzeciej nocy po przybyciu do Krakowa.

Tymczasem miasto całe brzmiało radośną wrzawą. Liczni mieszkańcy, z tłumem okolicznych obywateli, zebrali się na ucztę wyprawioną w imieniu króla, na której żona ministra miała czynić honory. Obecna siostra zastępowała ją w tym tak ciężkim dla siebie obowiązku. Nazajutrz po skonie ukochanej małżonki, minister, z sercem rozdartem boleścią, musiał jednak zadosyć uczynić trudnym warunkom wysokiego do- stojeństwa swego. Przyjmował w imieniu króla de- putacją obywateli krakowskich, a podczas gdy miał stosowną do nich mowę, uważano jak łzy płynęły po zbladłej jego twarzy.

Przewieziono zmarłą do Guzowa, gdzie pochowano jej zwłoki w grobie familijnym. Głęboki żal rodziny, domowników, przyjaciół i ludu, świadczył ile strata jej dotkliwą była dla wszystkich. Stary mularz, któ- ry od czterdziestu lat służył bez przerwy w Łubień- skich rodzim, wezwany był do przygotowania grobu dla ukochanej pani. Murując go, oblewał rzewnymi łzami każdą cegielkę, powtarzając że to już ostatnia jego praca. Jakoż zaledwie że dokończył roboty, po- wróciwszy do domu zachorował i umarł.

Z zalem rodziny i domowników, połączył się żal narodu, który tracił w niej gorliwą i zdolną praco- wniczkę na niwie literatury ojczystej, tak zaniedba- nej w owych burzliwych czasach. Poetka nasza zmarła w 43cim roku życia, w chwili kiedy dojrz- ały jej talent niejedną jeszcze zdrowy rokował owoc:

OBŘEDY WESELNE LUDU

W WILKOMIERSKIEM.

przez

Mćcisława Kamińskiego.

(Dokończenie).

Wnosząc z formy i treści jego, zdaje się że go odnieść należy do odległej starożytności; kilka jednak nowszych, widocznie przyswojonych wyrazów, każe się domyślać późniejszych, zgodnych z duchem postępu i chrystyanizmu przerabian. Za jego starożytnością przemawiają, jak mniemamy: jaskrawość kolorystyki krasomówczego, połączona z właściwą wszystkim starożytnym ludom przesadą, i porównania poetyczne. Z drugiej zaś strony nieobojętną jest rzeczą owo zdrabnianie wyrazów, cecha podobnie ludów pierwotnych.

Zazwyczaj jednak na gołych się słowach tu nie kończy, lecz pan młody musi się opłacić za swoje wejście. I dodajmy tu nawiasem, że te wykupy i opłaty ze strony młodego na każdym kroku się powtarzają. Czy nie jest to pozostałością starożytnego zwyczaju kupowania narzeczonej?

Po licznych na wsze strony ukłonach, pan młody dobywa parę trzewików, które ofiaruje swęj narzeczonej. Ta jednak przyjmuje je tylko po długich korowodach, a nawet wcale nie dwuznacznych potajaniach, które atoli nikogo nie obrażają. Druźbowie wszakże młodego strzegą, aby ich na piec nie rzuciła, bo w takim razie musieliby je wykupywać od dziatwy tam siedzącej.

Wtęm podchodzi do młodej wybrany z grona młodzieży mówca, niosąc na talerzu wianek, w ten sposób chustą owinięty, iż jęj końce tworzą u spodu rodzaj rękojści. Pod chustą na talerzu kładą, zapewne jako godło dostatków, kilka sztuk drobnej miedzianej monety. Przy wręczeniu wianka, mówca w te przemawia słowa:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, każdemu w szczególności i wszystkim w ogólności, starym i młodym, wielkim i małym, i tym stołom białym, okwitym, przykrytym jako święte ołtarze, i tym matronom w namitkach, i tym pannom we wstęgach. 1) Wojsko nasze wyszło z miasta Kapitu, 2) z ziemi wolińskiej, ze wszelkim swoim dobytkiem, 3) na rączych swych rumakach; a idąc tutaj w niedzielę rano, slyszeliśmy w lesie ptasząt szczebiotanie. Nie był to jednak ptaków szczebiot, lecz się to sam duch odzywał; lecz i nie ducha to był głos, ale to z nieba Pan Bóg poglądał i coś przemawiał.... 4) Nie białe to drzewo oliwy, 5) lecz inna drzewina w lesie skrzypiała, a gdy ta drzewina skrzypiała, wówczas ta panna na wysokim krzesle siedziała. 6) Otóż bracia nasi, pobłogosławieni przez wszystkich, przez ojca i matkę, przez braci i siostry, przynoszą k'wam ten ni ze złota, ni ze srebra, ni z dyamentu, lecz z zielonej tylko ruty wianeczek, który młoda dziewica nie gdzie indziej chowała, tylko w puharze wysokim, w srebrnym naczyniu. Owóż prosimy swaci przyjąć ten zielony ruciany wianeczek i uwieńczyć nim głowę panny młodej i do świętego zanieść kościoła, a stanąwszy u pańskiego Majestatu, ofiarować go na cześć i chwałę Panu Bogu wszechmogącemu.“ 7)

(1) W oryginalne jest malownicze wyrażenie, którego niepodobna oddać w polskim przekładzie: „ir tom motiarom nomiatotam, ir tom poniatam kasnikotam.“ Tylko wtajemniczeni w język litewski słowa te rozumieją.

(2) *Kapitu*, jesto jedna z tych historycznych zagadek, których pełno w podaniach naszego ludu. Autor „Rzeczy o litewskich słownikach“ (K. A. K.) umieszczoną w piśmie zbiorowym wileńskim na r. 1862, oprócz *Kapitu*, które nazywa Kapitułą, przytacza inne jeszcze istniejące w podaniu ludowem miasta, jak: Berute, Kraine i t. d.

(3) Czy nie należałoby pod tę wyrażeniem rozumieć wzmianki o pielgrzymce narodów?

(4) Wyznajemy otwarcie, że pomimo największych starań nie mogliśmy zapełnić widocznej w tęm miejscu szczyrby. Włóścianin dyktujący nam tę mowę, nie mógł nam w tęj mierze udzielić objaśnienia; woleliśmy zatem bez żadnych domysłów i dodatków pozostawić to miejsce. Mniemamy że nikt nam tego za złe nie weźmie.

(5) Zauważmy nawiasem, że lud nasz często o drzewie oliwnem wspomina. Coby to miało oznaczać? nie chcemy się puszcząć na pole domysłów, ani tęż myśleć ze Strykowskiem wyprowadzać Litwy od Palemona i jego towarzyszy. Lecz to pewna, że ta wzmianka niejednego historyka kłopotu nabawi.

(6) *Sidiedama, sidieja*—(siedząc, siedziała), idiotyzm litewski, znany tęż i w słowiańskich narzeczkach.

(7) W ogóle w tęj mowie, która, o ile wiemy, nigdy jeszcze tłumaczoną i drukowaną nie była, wiele napotkać można nierozstrzygniętych zagadek. To samo da się o niej powiedzieć, co się raz już o dyalogu wyżej przytoczonym powiedziało. Nie możemy tu atoli nie zwrócić uwagi czytelnika na jeden dziwnie poetyczny ustę. Mówimy o tęj części mowy, gdzie jest

Ktokolwiek poznał bliżej włóścian litewskich, wie jak trudno wygrzebać u nich jakąkolwiek tajemnicę, mianowicie tyczącą się obyczajów i zwyczajów, którą, czy to skutkiem jakichś przesądów, czy tęż z innych przyczyn, odkryć nie mają ochoty, i ani prosby, ani datek pieniężny—nie ich zmiękczyć nie zdoła. Przytoczoną powyżej mowę wyzebrałismy prawie u młodego parobczaka, który na wszelkie nasze zapytania, tak względem znaczenia niektórych wyrażen, jakotęż w celu dojścia jakiegoś logiczniejszego jęj wątku, odpowiedzieć nie umiał, czy tęż nie chciał. Zbywał nas bardzo dobitną, choć niezaspokajającą odpowiedzią: „*tajp rejkie kotbet*“ (tak mówić trzeba).

Ledwie mowa przebrzmiała, alisci druźki biorą wianek i przypinają go do włosów panny młodej, która tęż nie rozstaje się z nim aż do powrotu ze ślubu, a właściwiej do włożenia sobie przez swacię czępką. Prawdziwie czy fałszywie,—dość że z oznakami niechęci rozstaje się z tęm godłem dziewictwa, które jęj przemocą prawie odbierają. W starożytności (a nawet i dziś w niektórych okolicach) istniał zwyczaj sadzania przy tym obrzędzie oblubienicy na dzieży, do góry dnem przewróconej, a następnie podstrzygania, lub raczej wypalania kosmykami włosów.

Jak wiadomo ten zwyczaj istniał i u niektórych słowiańskich ludów. Dziś wychodzi on z użycia. Przed kilką jednak laty samiśmy byli świadkami podobnego obrzędu w jednej wsi pod Wilkomięrzem.

Następują wręczenie liczne błogosławieństwa, i to nietylko rodziców i starszych wiekiem krewnych, lecz wszystkich bez wyjątku obecnych. Oblubienica w towarzystwie najstarszej druźki, okrywszy głowę i twarz obszerną chustą, aby tęm lepiej ukryć sztuczne wyćskanie lez cebulą, chodzi od jednej do drugiej osoby, kłaniając się aż do ziemi każdej z osobna, i piskliwym głosem oplakuje przeszły i przyszły stan, jakby pierwszego istotnie żałowała, a drugim się brzydziła. Podczas tęj tragikomicznej sceny, domownicy starają się przybrać również posępne miny; przeciwnie strona oblubienica winna największą okazywać wesołość. Skłaniając się do nóg rodziców i krewnych, panna młoda powtarza: *Bogostowikit mani szy niedielas rytu su żalu rutu wejnikieli, szytku kośniku*. (Błogosławcie mnie tęj niedzieli rano, w zielonym rucianym wianku, jedwabnym kaśniku).

Możnaby tu uczynić zapytanie, czy nie jest ten obrzęd pozostałością starego zwyczaju, kiedy jeszcze żona była prawie niewolnicą męża? Świadczy o tęm i Kraszewski. „Żony, powiada on, były niejako kupnemi niewolnicami, a ich los maluje nazwanie: *moto, moteryskie*, bo na matki dzieciom tylko je brano.“ Bogiem a prawdą nawet i dziś żona kmiecia litewskiego nie przestała być niewolnicą.

Zachodzą wręczenie parokonne wózki, rzą konie, lepięj tęgo dnia karmione, brzęczą dzwonki, woźnice trzaskają z biczów, i całe weselne grono, z muzyką na czele i konną gromadą młodzieży po bokach, pędzi do parafialnego kościoła na ślub. Po odbytych ślubie, (którego koszt wynosi 4 złote urzędowo, a 10 zł. lub 2 ruble ze zwyczajem), druźbowie młodej odprowadzają ją do połowy kościoła, gdzie przechodzi w ręce druźbów młodego, którzy odtąd jęj nie odstepują. W innych okolicach, a mianowicie w Zapuszczańskim, ta zamiana ma miejsce na ementarzu przed kościołem.

Z kościoła całe grono biesiadników rusza do najbliższej karczmy, jako głównego wsi każdej ogniska. Tu następuje obiad, pijatyka i tańce, którym kilka słów poświęcimy.

Do najpopularniejszych należą tak zwane: poduszeczka, kukawka, szumka i król. Czy one są zażytkiem odległej przeszłości, czyli tęż przywędrowały z sąsiednich krajów—odpowiedzieć nie umiemy. To jednak pewna, że nie brak im cech narodowych, więc powagi, skromności a po części i monotonii, stanowiących naturę ducha ludu. Nie wiemy z jakich przyczyn *Ludwik z Pokiewa* (Jucewicz) nazywa niektóre z tych tańców szlacheckimi. Niezleby to zapewne było, gdyby szlachta miała swoje narodowe tańce, ale jak dotąd przyswoiła sobie tylko jakieś dalekie obcego pochodzenia kadryle, gallopadę, etc.

Poduszeczka, taniec bardzo pospolity, a jak mniemamy, spólny wszystkim prawie początkującym w oświacie ludom, zasadza się na utworzeniu koła przez

rzecz o ofiarowaniu wianka pannie młodej. Tu piękno przynosi nasz lud nad pożytek, naturę nad sztukę, prosty ruciany wianeczek nad srebro, złoto i dyamenty. Nie jest to zacytnym rysem charakteru tęgo ludu? Dziś zapewne, gdybyśmy mogli usłyszeć głos ich serca, inną niewątpliwie usłyszeliśmybyśmy mowę, inne żądania—lecz innym tęż jest obecne stan naszego ludu... Żyjąc w dostatkach, łatwo myśleć o poezji, żyjąc w nędzy, chętniej o złości myślemy.

mężczyzn i niewiasty, pośród którego jeden tancerz się kręci.

Kukawka czyli *kukutka*. Jeżeli zwrócimy uwagę na to, iż ptak ten jest w szczególnem uczeniu na Litwie, należałoby taniec od niego nazwany odnieść do odległej starożytności. Wykonanie jęgo proste, więcj śmiészne niż piękne.

Szumka, podobna do tańca poprzedzającego. Nazwa wskazuje słowiańskie jęj pochodzenie.

Król pośredniczy pomiędzy tańcem a grą. Zasadza się na tęm mianowicie, iż dziewczęta wkładają czapki i kłaniają się stojącemu pośród siebie parobkowi, którego królem mianują.

Wdzięku w tych tańcach mało, mniej jeszcze życia; ani ich równać można ze skoczny krakowiakiem lub wdzięcznym mazurem. Dostrzeżesz tu natomiast jakąś melancholiczną powagę, nieledwie smutek.

Z karczmy weselna czereda odjeżdża przy hucznych śpiewach, przerywanych kiedy niekiedy dźwiękiem skrzypiec i odgłosem bębna, do domu panny młodej. Pan młody jednak z drużyną wraca do swęgo domu, i dopięro na drugi lub trzeci dzień przyjeżdża już ostatecznie do oblubienicy. Zwyczaj dziwnie oryginalny, pomimowoli przywodzący na myśl wkradanie się Spartan do swoich żon.

Dlaczego on istnieje? jaki jęgo cel? jaka zasada? Trudno coś stanowczego o tęm powiedzieć. Może z tych samych przyczyn co przytoczone wyżej prawo Likurga; może w celu przedłużenia zabaw ślubnych; może na pamiątkę jakiejś zamierzchłej tradycyi, jakichś pogańskich tajemnic. O ile nam wiadomo, jednej tylko Litwie zwyczaj ten jest właściwy.

Za powrotem weselnej druźny do domu panny młodej, druźbowie jęj szczególne otrzymują prerogatywy. Zwyczaj bowiem pozwala im kraść wszystko co pod rękę lub oko podpadnie, na korzyść nowego stadła. Kury, kurczęta, kaczkę, gęsi, jajka, nawet i wszelkie gospodarskie drobiazgi napotkana na drodze, idą w obszerne sakwy weselników, a ztamtąd przechodzą na miejsce swęgo przeznaczenia. W razie złapania na gorącym uczynku, właściciele muszą się opłacać. Porównując zwyczaj ten ze znanym spartańskim, uprawnionym przez Likurga, znajdujemy nieskończoną wyższość pierwszego nad ostatnim. Likurg dozwalał przekraczać prawo własności li tylko dla korzyści kradnącego; zwyczaj upoważnia naszego kmiotka do tęgoż przestępstwa na korzyść bliźniego. Tam dozwolonęm to było zawsze i wszędzie, tu tylko podczas godów weselnych. To również przemawia za poszanowaniem, jakim Litwin otacza nowozawiazującą się rodzinę, gdy gwoli jemu dozwolonęm jest tak wielkie nawet zbroczenie; starożytnie bowiem prawo o złodziejach opiewa: „Złodzieja poraz pierwszy różgami obić, drugi raz kradnącego kijmi, trzeci raz psom oddać na pożarcie.“ (*Narbutt*).

Kiedy jeszcze istniały stosunki włóścian z dworem, z karczmy wszyscy biesiadnicy, nie wyłączając pana młodego, udawali się do dworu. Tu dziedzie zapraszał ich zwykle do jednego z większych pokojów, dokąd wysyłał wódkę, piwo, chłéb, sér i inne pokarmy, weselnicy zaś darzyli go *korowajem*, t. j. ogromną pszenną bułką, w dziwaczne figurki przybraną, a zwykle wypiekaną przez Izraelitkę. Nieraz młodzież pańska, strojne dziewczęta i dorodni młodzieńce brali udział w tych zabawach, co naturalnie musiało być przyjemnęm dla weselników, którzy się szczylicili z tęgo zbratania z panami. Z boleścią jednak wyznać musimy, że niewszyscy dziedzie taką się przystępnością odznaczali: wielu z nich wymagało pewnej opłaty za dziewczynę poddanę, wychodzącą za mąż do cudzej wsi, a jeśli biedny kmiotek nie mógł zadosyć uczynić woli obywatela, częstokroć wzbraniano mu się żenić. Jestto, jak się nam zdaje, niedotrąwioną przez wieki resztką tak zwanęj *kunicy*. Barbarzyństwo niesłychane! Cóż dziwnego że włóścianin płaćić za nie nienawiscią? Rany serca najtrudniej się goją.

Panna młoda po wejściu do dworu narzucała dziedzirowi na ramię ręcznik własnej roboty; toż samo ma miejsce za powrotem do domu. Jestto niby hasłem do rozpoczęcia tańców. Tymczasem panna młoda zbliża się do rodziców i z niezle udanym smutkiem swój przyszły stan oplakuje. Między innemi ogólnikami powtarza po litewsku mniej więcj te słowa: „Niech będzie pozdrowiony Pan Bóg i Najświętsza Panna, i ta zagroda, i ojciec, i matka, i krewni, i wszystkie sąsiadki.“ Dalej ubolewa iż opuściła dom z jednęm nazwiskiem, a z dwoma wroćićia. Przemowa ta nosi na sobie daleko późniejszą, niż wszystkie przytoczone wyżej, cechę; niebrak jęj atoli najwnęj prostoty.

Rozpoczyna się zabawa naprawdę. Smyczek grajka dobywa ze skrzypiec coraz fałszywsze tony, dzięki

częstym libacyom; hucy bęben, brzęczą cymbały, rozlegają się śpiewy, śmiechy, wesole rozmowy, głośne „hura“; tańczą, piją, jedzą, chodzą, rozmawiają, siedzą, zalecają się—ale zawsze przyzwyczajone, choć nie powiemy grzecznie, bo u kmiecia szturchaniec wymierzony łokciem w bok dziewczyny, znaczy tyle co na wielkim świecie: „jesteś cudną, zachwycającą—kocham ciebie.“ Zastługują na uwagę drwiny *podmłodzieńców* (1) z druzek, jako figur już niepotrzebnych po odbytych ślubie; odtąd bowiem oblubienica przechodzi pod bezpośrednią opiekę swaci i matron. Niekiedy te żarty tak daleko się posuwają, iż družbowie (osobliwie zimową porą) wsadzają bez ceremonii družki do sanek, zwanych roguciami, i wywożą je za wrota. Nie marszczcie się piękne czytelniczki! Jestto wprawdzie niegrzeczność bardzo dobitna, lecz ileż to razy polykacie większe jeszcze od swoich *uświatowionych* aspirantów, a nie czujecie tego, bo są obwinęte w komplimenta paryżkiego wyrobu.

Nie chcąc nudzić czytelnika powtarzaniem rzeczy znanych, nie opisujemy tu wszystkich wróżb, jakie družbom i dziewczętom nadarzają weselne gody i sam ślub. Pisało o tém już wielu.

We wtorek wieczorem lub we środę, stosownie do majątkowego stanu nowożeńców, następuje powtórny i ostateczny przyjazd pana młodego. I tu znowu nie chcą go wpuścić do młodej małżonki. Dopiero po długich targach i opłacie, dają mu wolne wejście. We drzwiach jednak chaty stawiają stołek nakryty ręcznikiem. Jeden z družbów obowiązany jest przesadzić go jednym susem; jeżeli przeskoczy, zabiera ręcznik, w razie przeciwnym musi się opłacić. Zwyczaj ten zdaje się pochodzić z odległej starożytności, bo najdawniejsi dziejopisowie Litwy o nim wspominają.

Pan młody zasiada ze swoją assistencją do długiego stołu, zastawionego rozmaitemi pokarmami. Tymczasem panna młoda droży się i nie chce usiąść. Wtenczas družbowie narzekają na niesmaczne potrawy, na niedostatek soli i kwasu. „*Ni suru, ni rukszczu*, wołają, *marczous rejkia!*“ (Ani słonno, ani kwaśno, panny młodej potrzeba). Wreszcie zmiekkzona heroina zajmuje miejsce obok swego małżonka, a ukontentowani biesiadnicy wołają: „Dabar ir suru ir rukszczu, nieha nie rejkia.“ (Teraz i słonno i kwaśno niczego nie trzeba). I napelniwszy gorzałką kielichy, spełniają je przy radosnym okrzyku: „*Hura, musu marti!*“ (2) (Niech żyje nasza bratowa!).

Na stole napotkasz najlubiejsze Litwy potrawy, więc boćwinę, kapustę, gęś, jajecznice, pierogi, krupnik, słoninę, sэр i t. p. W niektórych okolicach Zmujdzi wszystkie talerze, szklanki i miski otaczają rutą, co nadaje piękny i świąteczny pozór całej uczcie. Gdy wreszcie natanęją się, naśpiwają i nabawią do woli, składają na wóz rupiecie młodej, zwane *krajczys*, i swacia odjeżdża z niemi do domu nowożeńców. Lecz i tu nie obejdzie się bez targów: jeżeli panna młoda ma siostry, te kładą się jedna na skrzyni, druga na kuble oblubienicy, i nie chcą tych skarbów z rodzicielskiego wypuścić domu. Targani na ta trwa dopóty, dopóki obie strony zmęczone nie zawrą przymierza, na podstawie dobrej woli lub kilku miedziaków. Wtenczas swacia odjeżdża do przeznaczonego miejsca, a w trop za nią postępują družbowie panny młodej. Wnet poznamy rolę, jaką ci ostatni mają do spełnienia.

W godzinę lub więcej po wyjeździe swaci następują przynosiny nowożeńców do nowego domu. Towarzyszą im niektórzy z biesiadników, wyjąwszy wszakże družki, które rozchodzą się do domów. Nowo pobrana para jedzie razem na jednym wozie i rzecz szczególna, oboje okryci jednym i témże samem prześcieradłem. Jestże to symbolem małżeńskiej jedności? Oprócz pozostałej wyprawy, panna młoda wiezie chleb i dzban piwa, którego ani kropli, bez sprowadzenia na swój dom nieszczęścia, uronić nie powinna. Starożytni i dzisiejsi Litwini widocznie piwo uważają jako symbol obfitości i mocy. U starożytnych Greków toż samo znaczenie miał jęczmień.

We wrotach spotyka młodą parę matka oblubienicy, przybrana w kozuch obrócony na wywrót, więc włosem do góry, wynosząc na spotkanie synowej chleb, sól, pieniądze i znowu piwo.

Państwo młodzi udają się jednak nie do chaty, gdzie się bawia biesiadnicy, lecz do *swirna*, czyli małżeńskiej komnaty, gdzie składają piwo i chleb; ztamtąd wracają do chaty, gdzie jeszcze uczta trwa kilka godzin. Wreszcie rozchodzą się biesiadnicy, a tuż za nimi i młoda para udaje się do siebie.

Na świecie ślub bywa zwykle przejściem od życia marzeń, do życia rzeczywistości; tu atoli rzecz się ma inaczej. Chłop nasz korzysta z każdej zręczności by się zabawić; ztąd i nazajutrz jeszcze uczta się nie kończy.

Ledwie nastanie zwykła pora pracy, aliści hałas, stuk, brzęk i odgłosy wszelkiego rodzaju, rozbudzają młodą parę. Sprawcami tego rozruchu są družbowie i inna młodzież, która obległszy swiron z kijmi, bębnami, skrzypcami i rozmaitemi narzędziami, przy głośnych okrzykach straszliwy wyprawia hałas. Nieprzyjemność tę nowożeńcy opłacie jeszcze muszą podarunkami, które stanowią najczęściej własną ręką panny młodej utkane pasy, zarówno przez mężczyzn jak i kobiety noszone. Przebudzona tym sposobem oblubienica, zabrawszy z sobą przywiezione wczoraj chleb i piwo, przechodzi do chaty i obejmuje ją niejako w posiadanie. Obdziela przytém swą teścioczkę rozmaitemi darami, a mianowicie płótnem, ręcznikami i t. p.

Zgromadzona tymczasem mężka młodzież, jakby mszcząc się że jedna dziewczyna ubyła, dopuszcza się wszelkiego rodzaju żartów z panny młodej. Na wszystkie jednak te kpiny, panna młoda obowiązana jest odpowiadać obojętnością i powagą, nowemu powołaniu swojemu właściwą. I rzecz dziwna—prawie żadna z nich się nie rozśmieje. Jestli to skutkiem głębokiego przejęcia się swoim powołaniem, lub wybornie odgrywanej roli? odpowiedzieć nie umiemy, bo i któż w takich rzeczach odgadnąć zdoła kobietę?

Ostatnim aktem tego życiowego dramatu jest tak zwany obiad czwartkowy, na który zbierają się sąsiedzi, przynosząc z sobą rozmaite potrawy, tak iż ta ostatnia uczta nietylko że nic nie kosztuje nowożeńców, lecz owszem przyczynia im na kilka dni przynajmniej hojnych resztek przedmiotu obiadu. Tu także mają miejsce owe ofiary przedmiotów gospodarskich przy zręczynach obiecanych.

Oto weselne obrzędy naszego ludu, który pod względem ich obfitości i urozmaicenia żadnemu innemu wyprzedzić się nie da. Wybitną cechą wszystkich tych obrzędów jest skromność, może aż do przesady posunięta. Dzięki jednak tej cnocie, stosunki małżeńskie, silnie oparte na wierze i powinności, trwają tu niczém niezachwiane i niewzruszone. Żona cierpliwie ulega mężowi, a jeżeli ten, zalany trunkiem, da boleśnie jej uczuć swoją wyższość, to wszakże wynika ztąd niezgoda niknie z wytrzeźwieniem. W ogólności jednak to możemy powiedzieć, iż bardzo rzadko małżonkowie się kłócą, a tém bardziej biją; zwykle złość ich schodzi raczej na domowników, a pod tym względem wyznać należy iż żony przewyższają mężów.

Na tém kończymy swój opis. Może on być niedokładny, ale to pewna że prawdziwy; nic tu swojego, krom uwag, nie dodaliśmy, te zaś nie dlategośmy poczynili, by je narzucać komuś za pewniki, lecz jedynie z tej przyczyny, aby zachęcić, jeżeli podobna, mężów zasłużonych w nauce, do gruntownego zbadania obyczajów i zwyczajów ludu. Któż bowiem, przy dzisiejszym stanie nauki, wątpić może, iż one są najwierniejszym zwierciadłem ducha narodu, zwierciadłem na którym jego istota w całej się pełni odbija? Któż ośmieli się powiedzieć, że to poznanie, jako nieprzynoszące materyalnych korzyści, jest dla nas bezużytecznem? Bezużytecznem? Jesteż na świecie choć jedno źdźbło trawy, któreby żadnego pożytku nam lub komukolwiekbaż nie przynosiło? Bezużytecznem jest tylko leniwość i próżniactwo, a doskonale zbadanie ducha narodu, może być częstokroć wyrównaniem przyszłych dróg jego.

Spirydyon Ostaszewski.

(Z księgi moich wspomnień).

Kiedy znany nasz poeta ukraiński Aleksander Groza, w r. 1854 przybył do Kijowa i wracał późno do swego mieszkania, zdziwiony znalazł swoich towarzyszy w gwarniej rozmowie.

— Żaluj żeś nie był, jednogłośnie zawołali, mieliśmy tu naszego bazarza.

„Domyślałem się, pisze Groza, że mówią o Spirydyonie Ostaszewskim. Jego skazki w jego deklamacyi są tém, czém być powinny; ależ to deklamacya, w której nietylko głos, lecz cała jego postawa, twarz, oczy, brwi, a nawet zawiesziste wąsy są w ruchu. Cała dusza odbija się w jego fizyognomii.“

Znajomość Grozy z Ostaszewskim trwała od lat dziecińczych: wieś rodziców Grozy Markówka, a jego Myszarówka blisko były od siebie. Rodzice obydwóch żyli z sobą w sąsiedzkiej przyjaźni i odwiedzali się bardzo często; ztąd i przyjaźń dwóch młodzieńców,

Aleksandra ze Spirydyonem. Ale różnica wielka zachodziła między niemi: pierwszy cichy i łagodny, lubiący spokój domowego ogniska, rzewny i czuły; drugi szczery syn Ukrainy, siłacz, że mu w rękę pękają podkowy żelazne jak woskowe, dzielnie i konieni toczy, i szabłą robi, a na rękę niebezpiecznie iść z nim w zapasy, bo jak mówi Dyndalski w *Zemście* Fredry:

„Nie wyzywaj go na cięcie,
Bo jak machnie po pętlicach,
Zdywiduje, jak Bóg Bogiem!“

„On gdyby huknął, mówi Groza, *Hej! Kozaczko, w imia Boha!* toby zadzwoniły szyby wnielada dworca, a przez pola przeleciałyby ten głos dalej niż wystrzał z rusznicy. Probował on i wojaczki, ale to było dawno. Dzielne jego serce żywi się teraz to pieśnią, to bajką, które dla zabicia czasu sobie i drugim po swojemu śpiewa i opowiada. Ulegając naszym prośbom, powiedział nam swą niejedną skazkę, w której żywa ukraińska dusza zagadała.“ (1).

Człowiek czynu, znawca koni i sam dzielny jeździec, w braku pola, jak sokół łowczy osadzony w klatce, tęsknił do polotu, a w codziennem życiu łamał sobie skrzydła, co mu niegdyś do bujania swobodnego służyły. W spracowaną dłoń od rzemienia i żelaza wziął pióro i rozpoczął swój zawód literacki od napisania i ogłoszenia drukiem pół kopy bajek ludowych, które wydał w r. 1850 w Wilnie p. n. „*Più Kopy Kazok, napysaù Spirydyon Ostaszewski, dla wesoloho mira!*“

W przedmowie tłumaczy się z powodów które go skłoniły do pisania tych bajek.

„Napysaùem dla was, mirane, szczoste pysmenni, abo i ne pysmenni a cikawi, *Più Kopy Kazok*. Kazki tij ne wydumka moja, ale zbyraùem, szczo kazały stari lude i szczo cikawoho abodywnoho za moich lit staò.“

„Buły wże taki lude, szczo pytały sia, na szczo taja kniżka prydašt sia? Czy wona czoho nauczyt? abo czy sumlinia ludzkie poprawyt? My Ukraïnci znajmo, w szczo naszi didy dawno wiryły. Słuchajmo kazok, jaki stari lude rozkazowały. Uczim sia piśni naroda, to nas do czoho dowede.“

W tej przemowie daje nam autor ciekawą wiadomość co do ruskiego narzecza.

We wszystkich dawnych księztwach: Smoleńskim, Czernichowskim, Połtawskim, na Rusi krasnej, na Rusi białej, lud jedną mową mówi, z tą różnicą, że ci co blisko są Wielkorossyi, przyjęli wiele wyrazów rossyjskich, a Ruś biała, bliska Litwy, łotewskie słowa, a nawet i wymowę litewską przyjęła. Czysta mowa została w pośrodku czerwonej Rusi, osobliwie około Humania. Kotlarewski i Padura pisali (słowa p. Ostaszewskiego) połtawskiem narzeczem, pomieszanem z rossyjskiem, dlatego że rossyjska mowa obfitszych im słów poddawała.

„Na moje proste kazki, prosta mowa wystarczy; dlatego jak stare Humeńce mówią, tak i ja piszę. I nasz ukraiński naród zrozumie mnie zarówno jak Smoleńczanie, Połtawcy i Biało-Rusini.“

Wczytawszy się w te skazki, przyznać musimy, że umiał dobrze i w lud się wpatrzeć i uchwycić jego język z całą barwą prostoty, i zniżyć się do stanowiska tego ludu, którego skazki nam podaje. Bardzo szczęśliwie wywiązał się ze swego zadania: prawie nigdzie nie zdradził się ani z wyższą nauką, ani z wyższą ogładą towarzyską, a tyle prostoty rozlał, taką szczeroduszność naiwną, że prawie zawsze się zdaje, iż to opowiada prawowierny chłopiec. Sztuka to nielada, nielada zadanie, tak wnikać w ducha ludu i myślać, i wyobrażać, i wyrażeniami językowemi, a nie uchybić jego prostocie i w prawdziwym ludowym języku i stylu skazki te oddać.

Wiele z tych skazek myślą i treścią odpowiada polskim klechdom. *Try braty*, jest powiastką tą samą niemal, co w polskich *szklana góra* z małemi zmianami. Gdy dwóch mądrych braci, drąc się po zaklętą cudną królową na szklaną górę, karki połamali, trzeci, miany za głupiego, w brudnym baraním kozłuchu, smarując ręce i nogi smolą, dostał się pod sam wierzchołek. Wielki ptak biały, stróż owej królowej, utopił szpony swoje w jego kozłuchu i wniósł go do zacarowanego zamku. Ujrawszy to głupi, że przebył niedostępne mury, nożem urznął nogi ptakowi i spadł na podwórze, a tym sposobem dostał i cudną zaklętą królową za żonę, i posiadał wielkie bogactwa. Autor oryginalnym zwrotem zakończył swoją skazkę.

„Tak sia na switi dije. Ne idna skotyna,
Chot dureń, dobre sia i hroszy i czynu.“

(1) Mozaika kontraktowa. Pamiętnik z r. 1851, przez Aleksandra Grozę. Wilno 1857 r.

(1) Podmłodzieńcami nazywają na Litwie družbów.

(2) *Marti* dosłownie nie daje się przetłumaczyć. Jestto wyraz pośredniczący między bratową i panną młodą.

Poszmoył sobi duszu, a hladkiy z pozoru,
Chot' prozyū wik w bołoti, wdrapaūsia na horu."

Sławny jest wał ziemny na Ukrainie, zwany *wałem Żmii*, o którym różne są podania. Jedno przytacza nam Ostaszewski w owym zbiorze; powtarzamy je w wiernym przekładzie.

„Między Dnieprem a Rosią płynie mała rzeczka Stunia, pomiędzy nią a Rosią długi się wał ciągnie. Posłuchajcie z kąd się wziął.

W wiosce Pawlinie był kowal bogaty, rodny Kozak, a zwał się Ułas, przedobra dusza, przemily człowiek; cały swój wiek tak się sprawiał, że go wszyscy lubili. Każdemu był rad, i jemu nawzajem wszyscy; trzymał dużo czeladzi, bo roboty było huk, a rąk on nie pożałował.

Jednego dnia, jakoś na samym przednówku, kiedy chleba było brak, bo choć dobry urodzaj, ale jakoś na gorzałkę kozactwo to przehułalo, przypadło tak, że przyszedł do niego dziad żebrzący. Ułas posadził go za stół, zaprosił na obiad, jadł z nim razem i pił razem. Z kąd był ten dziad, nikt nie wiedział, i Ułas go nie pytał. Potem różne bajki chodziły o nim: jedni gadali, że to jakiś święty za dziada się przebrał, drudzy że to był wielki czarownik, a jedna sąsiada, sprawiedliwa czarownica, rozgadywała, że to diabeł przerzucił się w dziada. Bóg z nim, co on zaczął, Ułas wcale nie pytał. Jesć i pić dosyta dał, a że miał pilną robotę, położywszy dziada spać, sam krzyknął na czeladź, i dalej do roboty. Wielką miał pracę: co wziął i dźwignął kawał żelaza, to mu oczy aż na łeb wyłazły i czupryna się potem złała. Aż dziad do kuźni przychodzi, pozdrawia kowala i widzi jak roboty ma dużo i ciężko dźwiga kleszczami. Dobył więc swoich kleszczy z torby i dając mu je tak rzeknie:

— Weź je odemnie, na znak żeś mnie przyjął dobrze. Temi kleszczami przemożesz wszelką siłę, i korzyć mieć będziesz i miłą pamiątkę. Wziął niemi kowal blachę, co ważyła dwa pudy, obraca nią i tak i owak, młotem na wszystkie strony bije, a blacha funta nie waży. Serce mu się rozradowało, że ma takie kleszcze. Obejrzał się, by za nie podziękować, ale dziada już nie było.

Wkrótce po tym darze, któremu się dziwowała cała Ukraina, pokazał się taki żmij, że był wzrostem ogromny jak kijowska pieczarka dzwonnica, a jak w Stuni wodę pił, bo się nad nią włóczył, to ogon leżał gdzie Mytnica. Takie cudo, takie dziwo jak się w przyrodzie zjawilo, rzuciło postrach po całym narodzie, wszystko uciekało co żyło, choć gdzie? sami nie wiedzieli.

Zesmutniała Ukraina, bo od kiedy świat nastał, pierwsza to była przyczyna, że się Kozak przestraszył. Wszyscy przecie wiedzą że to nie bajki, gdy nie jeden raz i okręty i bisurmańskie szable uciekały od czajki kozackiej i spis kozackich. Kule sypały się jak grad, co broniły Carogrodu, a Kozak przecie i tam się dobił. A tu przyszło na to, że się zląkł i sam Kozak, i żaden się nie znalazł ochotnik, żeby zajrzał żmijowi w oczy.

Ułas miał wielką, murowaną kuźnię, a drzwi mocne z samych blach żelaznych. Tam on z czeladzią pracuje, kiedy żmij w Pawliwku gospodarzy. Teraz już niema żartów: Ułas drzwi dobrze zaparł i drzwi sobie; aż żmij prosto do kuźni sunie. Ale drzwi gładkie, zębami nie zaczepi; próbuje—daremnie. Więc ozorem zacznie lizać, i wylizał dziurę tak wielką, że przez nią cały język wsunął, bo miał wielki chrap na Ułasa. Struchlała czeladź, ale Ułas dziadowemi kleszczami za ozór schwycił. Żmij pieni się, rwie, ale języka cofnąć nie może. Kowal krzyknął na czeladź: „chłopy! zróbcie prędko pług, niechaj żmij nam porze.“

Chłopy byli żwawi, rażni, znali swoje rzemiosło: zrobili lemiesz na trzy sążnie, z jednego dębu wyrobili jarzmo, z dwóch sosen hołoble; pług był jak dzwonnica pawłowiecka, i do niego zaprzegli żmija.

Ułas kleszczami wiedzie żmija; cała wieś przygniotła osadę lemiesza: żmij rwie się a orze, sypie wał za sobą. A gdy przyszedł do rzeki, wypił wszystką wodę i suchą ją przeszedł nogą!

Ej! robota była skora! Chciał Ułas uspać wał aż do morza. Wał był jak cerkiew wysoki, a bruzda jak loch głęboka. Z wielkiej pracy podpalily się żmijowi boki, i zaraz zdechł, bo Ułas nie dał mu popasu, usypawszy trzydzieści mil wału.

Wał ten stoi już od wieku i zostanie do końca świata.“ (2).

(2) Obszerny rozbiór tych skazek, drukowałem w bibliotece warszawskiej, t. 2, z r. 1852, str. 141.

W naszym przekładzie została się tylko treść tej skazki, ale zniknęła cała wartość poetyczna, właściwa barwa języka ludowego i dosadność wyrażen, w czem mistrzem jest Ostaszewski. Potrzeba odczytać w oryginale te utwory, aby pojąć jak włada narzeczem ludu naszego i jakim jest poetą ludowym.

Po zbiorze skazek, w którym dowiódł tyle talentu, humoru i dowcipu, spoważniał nasz pisarz, a dotknięty wielką boleścią, bo utraciwszy syna jedynaka, zasiadł w osieroconem kółku rodzinnem, napisał i wydał w r. 1851 w Kijowie dzieło p. n. „Ojciec córkom, przez Spiridyona Ostaszewskiego.“

W przedmowie, tak się tłumaczy ze swęj pracy:

„Obowiązki ojca, powołały mnie do obszernego wyłożenia córkom moim powinności kobiety. W tym celu napisałem dla nich to pismo, mające być przewodnikiem ich postępowania. Nie miałem wcale zamiaru ogłoszenia go drukiem: lecz kiedy wdałem się w nauki dla płci obcej, postrzegłem potrzebę zasięgnięcia rady kobiet światłych, wzorowego postępowania. Zamiast oczekiwanęj poprawy i surowęj krytyki, żądały odemnie, abym to pismo ogłosił drukiem tak jak je napisałem. Do tej myśli powodowała ich uwaga, że chociaż kilka światłych i poświęconych moralności płci swojęj kobiet, jak pani Hofmanowa, Nankwaska, Ziemiecka i inne, wydały wprawdzie piękne dzieła, wywierające znakomity wpływ na ukształcenie serc niewieścich, autorki te jednak widziały przedmiot ze swego niewieściego stanowiska; przedmiot tedy z jednej strony uważany i osadzony został. Wypadł ztąd wniosek moich doradczyń, iż jeżeli ten sam przedmiot będzie jeszcze objaśniony, tak jak mężczyźni go pojmują, wtedy wszystkie jego strony pod prawdziwszém światłem wykazane zostaną, i takie porównanie obustronnych zdań może korzystny wpływ wywrzeć na kobiety. Dlatego właśnie nie chciały nie poprawiać, aby pismo było czysto męskie. Zdanie ich trafiło do mego przekonania, i tćm bardziej zachęciłem się do wydania pisma tego na świat, że naocznym jestem świadkiem, iż w przeciągu lat kilkudziesięciu nasze Polki wysoko postąpiły w moralnem ugosposobieniu, będąc winne swój postępek jedynie gorliwości pisarzy. Owo marnotrawstwo majątków męzowskich, owe spazny modne, znikły czarowną siłą gorliwych pisarzy: zamiłowanie do cudzoziemczyzny znacznie się zmniejszyło, a uczucie przywiązania do swojszczyzny zajęło jego miejsce. O rozwodach prawie nie słychać, gachów ani zajrzć; matki oddały się gorliwie wychowaniu dzieci; macochy nie są już duchem przesławowczym swoich pasierbów; wszystko to, co cechuje pobożność bez przesady, zacność i dobre prowadzenie się, jest między naszymi kobietami ogólnie: słowem, główne cnoty są zaszczerpione, a wyjątki są tak małe, że niema co o nich wspominać.“

Całe dzieło swoje podzielił na dwa tomy. W pierwszym uważa kobietę w stanie panieńskim, w drugim jako mężatkę, matkę, i wdowę. W każdym stanie podaje zdrowe rady, wskazuje przymioty niezbędne do szczęścia w społeczeństwie i zyskania miłości i szacunku ludzi. Wskazuje obowiązki i powinności tej istoty, którą Bóg przeznaczył na anioła-stróża domowego ogniska, coby czuwał nad domowemi cnotami, miłością rozniecał szczęście rodzinne, a pogardą klątwy okrywał to co nikczemne i podle.

Wiele tu ziarn zdrowej nauki, głębokiego poglądu, zacnych a cnotliwych przestroóg, lubo przyznać musimy, że czuć w tćm dziele ociężałość stylu i brak gładkiego wysłowienia myśli pięknych.

Książka ta godna aby w rękę każdej Polki była, ażeby ją każda uważnie przeczytała: bo jest to dzieło pełne myśli i spostrzeżeń, które rozpowszechnione niemałe wyświadczyłoby usługi naszym kobietom, niejednej, powiemy śmiało, dałoby spokój, a nieraz i szczęście w domowem życiu.

W rok późnięj wydał w Kijowie dzieło p. n. „Miłośnik koni, przez obywatela Spiridyona Ostaszewskiego.“ (Kijów 1852 r. dwa tomy).

Jest to jedna z najważniejszych prac w tym przedmiocie, i gdyby szlachta nasza nie rozmiękła, nie zdelikaciała po niewieścieniu, a zachowała przodków swoich zamiłowanie do dzielnych koni, dzieło Ostaszewskiego w tysiącach egzemplarzy rozchwytanęby zostało. Ale głądysz, należący do tak zwanęj *złotęj młodzieży*, której grono niewiele się dotąd zmniejszyło, traci fortunę na pojazdy i angielskie do zaprzęgu konie na wsi, a w Warszawie na dorózki lub karety.

Autor, słusznie tym objawem oburzony, zamyka swą przemowę w tych słowach:

„Każdy z zachwyceniem patrzy na pięknego konia, każdy jest przekonany o niezmiernęj korzyści krajowej z licznych dobrych stad, a przecie bardzo nawet dostatni ludzie, wołają zaprowadzić wrzaskliwe i głupie owce, anizeli piękne stado koni. Widzimy liczne składki na bale, liczne wydatki na rozmaite zbytki, liczne a hańbiące rozchody na karty, a niema takich, którzyby część lub całość tych niepotrzebnych wydatków poświęcili na utworzenie szkoły, z którejby wychodzili jeźdźcy lub koniuszowie, z dostateczną znajomością koni, sztuki prowadzenia stad i leczenia.

„Mnóstwo drukuje się bajek tytułowanych powieściami, romansami i t. d., a ksiąg pożytecznych o koniach mało się pisze, i na to pokupu niema. J. I. Kraszewski nałajał się niemilosiernie wszystkich, co nie chcą czytać jego Facunda Pasternaka i innych, i niedaremnie łajał, bo teraz księgarze nie mogą nastarczyć egzemplarzy. Weźmę się i ja do łajania. O Kraszewski! pożycz mi swoich wyrazów: „Bez mózgu... bez duszy.“ Może mi się uda jak tobie w tćm skutek otrzymać.“

Pisząc w ulubionym przedmiocie, który starannie studiował od lat niemal pacholęcych, wsparty zasobem doświadczenia to w domu, to w polu, to w wyprawach wojennych, ma styl płynniejszy, wyrażenia dosadne na zawołanie, a w wielu ustępach daje obraz prawdziwie poetyczne.

W części pićrwszēj, wyłożywszy prawidła szkoły konnej, przechodzi do opisu szczegółowego przymiotów konia, użytego pod siodło tak ciężkięj jak lekkie jazydy i do artylleryi konnej; dalej mówi o koniach wysięgowych, myśliwskich, stępakach i pod wierzch dla przejazdki. Obszerny rozdział poświęca na naukę konia i wyrobienie go dla jeźdźca.

Część druga obejmuje naukę kucia konia, narzędzi do tego, a zarazem doboru żelaza. Autor, sam jeździec wyborny, nabrał z doświadczenia przekonania, jak wiele zawisło każdej kawalerii bojowej na dokładnem podkuciu koni. Armia francuzka w wyprawie 1812 r. straciła wszystkie niemal konie, z powodu że kuła na gładko bez ocylów, jak to u nas w zwyczaju. Daremnie starzy kawalerzyści polscy przestrzegali o tym błędie francuzkich dowódców: nie usłuchali zdrowej rady i zgubnych doznali skutków. Na lodach i zmarzłych śniegach nie miały konie żadnej z podkowy pomocy; więcęj się nawet ślizgały niż gołem kopytem i tysiącami padały.

„Obcy księgarskiej spekulacyi (pisze autor do mnie d. 2 kwietnia 1857 r. z Awratyna) nie wiedziałem jak się obejść z rękopismami; za najłatwiejszą i najprostszą drogę osadziłem wydanie własnym kosztem podjąć.“

Ale doznał smutnego zawodu: księgarze, którym je powierzył, obeszli się z nim niemilosiernie. Jeden z nich, wydrukował skazki w Wilnie; nietylko że jak mógł najdrożęj policzył za papier i druk, ale wydał je z największą niedbałością, na brzydkim papierze, drukiem zbitym i zużytym; drugi otrzymawszy zaliczenie do 7000 złp., na rok odbijał po tomiku. Doczekał się przecie autor wydrukowania swych prac, ale jak nie umiał sobie radzić z księgarzami i drukarzami, tak nie wiedział teraz jak sprzedać gotowe już książki. Rozdał je więc w części księgarzom, ale ci, jak zwykle, stojąc zawsze naprzeciw autorom drukującym swoim kosztem, wzięli je w komis, a gdy się zgłosił po należytość, nie mógł skończyć rachunku, i ani egzemplarzy, ani pićniędzy nie zobaczył. Jeden tylko Zawadzki z Kijowa rzetelnie z naszym autorem się obszedł.

Pomimo tak smutnego zawodu i utraty niemało pićniędzy, „wpadłem (mówi Ostaszewski) w nałóg pisania, jak pijak do wódki.“

Napisał powieść p. n. *Garbata Teresia*, która pozostała w rękopisimie, i dwie ważne rozprawy w ulubionym dla siebie przedmiocie: „Uwagi nad rozprawą Eberharda o koniach i o stadach Ukrainy, Podola i Wolynia,“ którą przesłał redakcyi Roczników gospodarstwa krajowego.

Odtąd umilknął. Czy skruszył pióro? nie wiemy; ale z prac, które przygotował, nic nie ogłasza. Wiemy że ma zbiór nowyskazek ludowych p. n. *Piń sotni*, lubo ich nie znamy. Warto ażeby p. Ostaszewski udzielił chociażby niektóre dla tych, co oceniają w tego rodzaju utworach poetycznych jego niepospolity talent i mistrzowskie władanie językiem ludowym.

K. Wł. W.